ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VI. NR 5 (241)

LONDYN, 3 LUTEGO 1952 R.

PŁOMIEŃ OBECNOŚCI

UROCZYSTOŚĆ ZAPALENIA PŁOMIENIA ROKU ŚWIĘTEGO W KOŚCIELE POLSKIM W LONDYNIE

Przemawiając 27 listopada 1946 r. o beatyfikowanych 3 dni przedtem 29 Męczennikach z czasów powstania bokserskiego w Chinach, Papież Pius XII przypomniał, że we wszystkich czasach i na wszystkich miejscach kuli ziemskiej dawane jest przez chrześcijan świadectwo krwi: „martyrium"; jest ono powszechne, nieustanne, chociaż różne wielorakością form i rozmaitością świadków. „Dlaczegoż więc — pytał Papież — mówi się tak często o erze męczenników, o krajach męczeństwa, jak gdyby nie uznawało się, że to świadectwo i ci świadkowie są we wszystkich czasach i na wszystkich miejscach?" I odpowiedział: pomimo że dawanie świadectwa przez wyznawców Chrystusowych jest nieustanne i powszechne, to jednak historia męczeństwa zapisuje raz po raz bardziej świetlane momenty i obszerniejsze terytoria objęte prześladowaniem. I wyliczył Papież przykładowo w porządku chronologicznym i metryczno-poetyckim kraje, które w ciągu wieków dawały świadectwo Chrystusowi i rzucały na świat jasny snop światła, by „oświecić tych, którzy są w ciemnościach i którzy mrokiem śmierci są spowici i by kroki ich wieść drogą pokoju". Obok starożytnego Rzymu, obok Wschodu w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, obok innych krajów Europy i całego świata wymienił Papież Polskę i Węgry.

W dalszym ciągu przemówienia Papież omówił dokładnie, jak łaska męczeństwa, która ponad wszystkie inne łaski wytrwania aż do śmierci jest ze strony Boga ukoronowaniem całej serii łask prowadzących duszę stopniowo do męczeńskiego końca, a ze strony człowieka ostatnim klejnotem długiego łańcucha współpracy z łaską.

Jakżeż to całe przemówienie Papieża — mutatis mutandis — da się zastosować do krajów nazwanych w ostatnim Jego wigilijnym przemówieniu Kościołem Milczenia! W biegu dziejów Kościoła — Polsce przypadło dziś zadanie wydawania Chrystusowi świadectwa męczeństwa, które w oczach Boga i patrzących na nie w świetle nadprzyrodzoności i wieczności — jest łaską nad łaskami i chwałą nieprzemijającą. Prześladowanym potrzeba pomocy wszechmocnego Boga, by odnieśli tryumf, otrzymali wieniec chwały i palmę zwycięstwa. Nam, którzy pozostajemy na uchodźstwie, przypadły inne zadania do spełnienia, zadania przewidziane także planem Boga i za których spełnienie odpowiemy na Jego Sądzie. Wśród tych zadań naszym obowiązkiem jest pomóc prześladowanym przez modlitwę i uczynki pokutne: o wadze tej pomocy wie każdy, kto zdaje sobie sprawę z tego, czym jest Świętych Obcowanie.

Symbolem tej naszej pamięci o braciach i siostrach prześladowanych, a zarazem przypominaniem nam o nich jest LAMPA ROKU ŚWIĘTEGO, umieszczona w polskim kościele w Londynie i oczekująca na godzinę, gdy zostanie przewieziona do kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze, przed której podobizną pali się w kościele na Devonia Road.

Lampa Roku Świętego została poświęcona i zapalona w Bazylice św. Piotra na Watykanie przez Następcę Księcia Apostołów 2 grudnia 1950 r., pod koniec Roku Świętego obchodzonego w Rzymie, a na kilka tygodni przed udostępnieniem łask jubileuszowych całemu światu. Lampa ta symbolizowała „Wielkich Nieobecnych", jak wyraził się Papież, którym rządy państw komunistycznych nie pozwoliły na pielgrzymowanie ad limina Apostolorum. Lampa po przewiezieniu jej do Londynu została ponownie zapalona przez przedstawiciela Głowy Kościoła, ks. arcybiskupa Williama Godfreya, Delegata Apostolskiego w W. Brytanii i zarazem przedstawiciela Stolicy Świętej przy prawowitym Rządzie Polskim.

Uroczystość odbyła się w niedzielę 6 stycznia, w dzień Objawienia Pańskiego Trzem Królom, a w ich osobach całej ludzkości. Po zapaleniu lampy przez Delegata Apostolskiego Mszę świętą celebrował ks. infułat Bronisław Michalski, kazanie okolicznościowe wygłosił ks. prałat Władysław Staniszewski. Na uroczystości reprezentowali Państwo Polskie i Naród Polski Prezydent Rzeczypospolitej August Zaleski, oraz przedstawiciele rządu, organizacji politycznych i społecznych.

„ZBAWIENIEM NARODU JAM JEST"

KAZANIE KS. PRAŁ. WŁADYSŁAWA STANISZEWSKIEGO NA UROCZYSTOŚCI

Rok święty przyciągnął do Wiecznego Miasta około 3 miliony wiernych z całego świata. W uroczystości ogłoszenia dogmatu Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny wzięło udział pół miliona ludzi. Był to Rok Wielkiego Powrotu i Przebaczenia i obfitych łask i błogosławieństw Bożych. Nie przybyli w Roku świętym do Grobu św. Piotra, bo im przybyć nie pozwolono, wierni Chrystusowi i Stolicy Apostolskiej z krajów będących pod rządami komunistycznymi. Na widomy i wymowny znak pamięci o tych nieszczęśliwych miłościwie nam panujący Ojciec Święty Pius XII poświęcił i zapalił u Grobu św. Piotra lampę, która, jak się wyraził, symbolizowała obecność tych Wielkich Nieobecnych.

Wzruszająca to była uroczystość. Świadkami jej byli bawiący wówczas w Rzymie pielgrzymi z całego świata i bardzo licznie zebrani uchodźcy tych wszystkich odciętych od Stolicy Apostolskiej krajów.

Jeśli rozważymy, że wykonawcą tej historycznej pamiątki jest nasz rodak, prof. Michał Paszyn, że Mszę św. z tej okazji odprawił w obecności Ojca św., w Bazylice św. Piotra, Biskup Polski, Opiekun Emigracji Polskiej, że lampa ta, po zamknięciu Roku świętego, została umieszczona w kościele polskim w Londynie, który czasu wojny był jedynym wolnym kościołem polskim w Europie i, jak się jeden z dyplomatów polskich wyraził, katedrą Polski walczącej, wtedy odczuwać musimy radość i dumę z tego, że jest ona w naszym posiadaniu i że możemy być jej stróżami.

Na tej pięknej marmurowej lampie wyryte są nazwy wszystkich tych krajów, w których katolikom nie dano tej wolności sumienia i religii, aby mogli w Roku Świętym odbyć pielgrzymkę do Stolicy Chrześcijaństwa. Uwieńczona koroną cierniową z pozłacanego brązu, mówi ta lampa nam, że została wykonana, poświęcona i zapalona, aby płonąć „Pro Christo" — dla Chrystusa. Dla Chrystusa, o którym mówi św. Jan: „Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego. Na świecie był, a świat był przez Niego stworzony i świat Go nie poznał. Przyszedł do swojej własności a swoi Go nie przyjęli. A wszystkim, którzy Go przyjęli i uwierzyli w imię Jego, dał moc, aby się stali synami Bożymi: którzy nie ze krwi, ani z żądzy ciała, ani też z woli ludzkiej, ale z Boga się narodzili" (Jan 1. 9 — 13).

Będzie więc ta lampa miała dla nas podwójne znaczenie. Zmuszać nas powinna do pamięci o naszych nieszczęśliwych braciach w Chrystusie, którzy cierpią dla Jego Imienia i za Jego Kościół, a więc i za nas; po wtóre będzie nam symbolem naszej gorącej wiary w Tego, który jest „światłością świata", który „ogień przyszedł rzucić na ziemię i czegoż chce, jeno aby zapłonął." (Łuk. 12. 49). Dziś właśnie obchodzimy uroczystość Epifanii — Objawienia Pańskiego — tego „Lumen ad revelationen gentium" i modlimy się we Mszy św.: „Boże, w dniu dzisiejszym za przewodem gwiazdy objawiłeś narodom jedynego Syna Twojego; skoro tedy poznaliśmy Ciebie przez wiarę, doprowadź nas łaskawie do oglądania piękna Majestatu Twojego, przez tegoż Pana naszego Jezusa Chrystusa."

Mówi Pismo św.: „wszystko, co się narodziło z Boga, zwycięża świat, a to jest zwycięstwo, które zwycięża: wiara nasza" (1. Jan. 5. 4.).

A jakżeż nam tej wiary potrzeba w tych naszych wyjątkowych i historycznych czasach zamętu i przełomu, kiedy to od 13 lat gaśnie przed narodem naszym jedno światło po drugim i oto znajdujemy się jak w ciemni i poruszamy się jak po omacku, jak w ślepej uliczce. Chwiejemy i uginamy się nieraz, tracimy wiarę w siebie. Nie daj Boże, by duch nasz „upadł w tę próżnię zwątpienia, gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia, gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa, gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa."

Ciemne chmury zawisły nad światem a zmora ciągłego lęku i niepewności przygniata udręczoną ludzkość. Nie rozświeca tych mroków ani światło polityki i dyplomacji, nie rozdziera tej mgły również światło wiedzy i nauki.

Zda się, że do naszych czasów odnoszą się słowa proroctwa Izajasza: „Spojrzmy na ziemię a oto ciemności ucisku, i światłość zaćmiła się we mgle jego" (Izaj. 5. 30).

„Nogi ich biegną na złe i spieszą się, aby wylały krew niewinną: myśli ich to myśli niepożyteczne, spustoszenie i skruszenie na ścieżkach ich. Drogi pokoju nie znali i nie masz sądu w krokach ich; ścieżki ich pokrzywiły się im; każdy, kto po nich chodzi, nie zna pokoju. Dlatego oddalił się sąd od nas i nie przyjdzie do nas sprawiedliwość; czekaliśmy światłości, aliści oto ciemność; jasności, a pociemku chodziliśmy; macaliśmy ściany jako ślepi, a jako bez oczu dotykaliśmy się; potykaliśmy się w południe, jako w ciemności i w mroku, jako umarli......czekaliśmy sądu, a nie masz go, — zbawienia, a oddaliło się od nas" (Izaj. 59. 7 — 11).

I jak mówi natchniony autor Księgi Mądrości (5. 6): „Tak więc zbłądziliśmy z drogi prawdziwej, i nie świeciła nam jasność sprawiedliwości i słońce zrozumienia nie wzeszło nam."

A dusza ludzka tak do światła tęskni i tak tego światła szuka. Drogą, Prawdą i Życiem oraz Światłością świata, jak był, tak jest i będzie do końca Chrystus — jedyna Gwiazda Zbawienia. Stał się On światłością świata przez cierpienie, przez Mękę Krzyżową, przez koronę cierniową. Z jasności niebieskiej wyciąga się ku ciemnościom świata tego przebita gwoździem krzyża dłoń Chrystusowa. Jest ona jedyną pomocną dłonią w cierpieniach i mrokach niepewności dzisiejszego świata.

Ta miłościwie do nas wyciągnięta dłoń przyrzeka nam pomoc, pomoc Boga Wszechmocnego. „Bom ja Pan, Bóg twój, który trzyma rękę twoją. A mówię tobie: Nie bój się! Ja Ciebie wspomagam" (Izaj. 41. 13).

„Zbawieniem narodu Jam jest. W jakim bądź ucisku do mnie wołać będą, wysłucham ich i będę ich Panem na wieki" (ps. 77.).

Jeżeli więc tedy chcemy, by Bóg był z nami, to przede wszystkim my musimy stanąć wyraźnie po stronie Boga i po Bożemu żyć.

Nie możemy oddawać się więc zwątpieniu jako ten, który „nie wierzy, by nie mógł wrócić z ciemności do światła oglądając się zewsząd na miecz" (Job. 15.22) i przeciwnie, „przywdziejmy zbroję światła" (Rzym. 13. 12) i mówmy często:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa jemu,
Śmiele rzec może: mam obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

Czekajmy i bądźmy cierpliwi, ale w Panu i w Panu się spodziewajmy.

Nadzieja nasza w Nim jest.

„Wybaw nas, Panie, Boże nasz i sprowadź spośród narodów, abyśmy wysławiali imię Twoje święte i chlubili się Twoją chwałą. Błogosławiony Pan Bóg nasz od wieków na wieki. I niechaj woła wszystek lud: Stań się, stań." (ps. 105, 47).

AMEN.



Fot. W. Bednarski, 19, Warwick Avenue, London W. 9.

DELEGAT APOSTOLSKI J. E. KS. ARCYBISKUP W. GODFREY zaszczycił swą obecnością uroczystość w kościele polskim w Londynie, zapalając Lampę Roku Świętego i przemawiając serdecznie do licznie zebranych Polaków.

SENTIRE CUM ECCLESIA (5)

MEDIATRIX VIRGO MARIA

Święto, które przypada 2 lutego, jakkolwiek ma swój liturgiczny tytuł: Oczyszczenie Matki Bożej, to w treści swej wyraża ideę ofiarowania Dziecięcia Jezus Ojcu Przedwiecznemu przez Matkę Bożą. Dlatego też charakter święta w jego drugim znaczeniu zbliża się do idei pośrednictwa i rozdawnictwa łask ludziom przez Matkę Bożą. Tej idei poświęcę to rozważanie.

Idea, że Matka Boża jest pośredniczką między Bogiem a ludźmi, jakkolwiek nie jest jeszcze określona przez Kościół dogmatycznie, jest prawdą niezwykle frapującą. Należy ona do fundamentalnych założeń całej mariologii czyli teologii o Matce Bożej.

Aby czytelnikowi dać możność podążyć za myślą teologów, wskażę na niektóre pojęcia teologiczne, dystynkcje oraz spekulacje, które w tej materii toczą się i ukazują się na łamach pism i w dziełach teologicznych.

Wśród teologów nie ma nikogo, kto by nie uznawał tej prawdy. Istnieje jedynie problem, jak należy rozumieć pośrednictwo: czy w znaczeniu węższym, ograniczającym go do rozdzielania łask przez Matkę Bożą ludziom, czy też w znaczeniu szerszym — aż do współdziałania Marii w dziele Odkupienia?

W całej dyskusji teologicznej niektóre elementy są wspólne wszystkim, inne są wyznawane w większości. Do pierwszych należą te, że Maria jest nową Ewą, że stała się Pośredniczką między Bogiem a ludźmi. Oczywiście to pośrednictwo w niczym nie pokrywa się z pośrednictwem Chrystusa, który, jest jedynym i pierwszorzędnym Pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Tym niemniej jednak Maria uczestniczy w dziele Odkupienia i to tak, że bez Jej wpływu żadna łaska nie dochodzi do ludzi.

Takie jest zdanie ogólne teologów. Powstaje wśród teologów, gwoli samego sprecyzowania problemu, inna kwestia, czy pośrednictwo Marii jest bezpośrednie czy pośrednie. I tutaj znowu zdanie większości jest, że Matka Boża uczestniczy nie tylko pośrednio, ale i bezpośrednio. Jej pośrednictwo jest bezpośrednie i nie tylko fizyczne, ale i moralne, ponieważ Ona razem z Chrystusem, jako Matka Jego, brała udział w cierpieniu pod Krzyżem i w zadośćuczynieniu za grzechy.

Gdy mówimy o pośrednictwie, trzeba postawić jeszcze jedno zagadnienie, o zasadniczym znaczeniu. Matka Boża jest Pośredniczką między Bogiem a ludźmi z tej racji, że jest Matką całego rodzaju ludzkiego, ponieważ zrodziła Głowę tejże ludzkości. Ta racja jest o tak zasadniczym znaczeniu, że nawet nestorianie, którzy z racji swego wystąpienia zwrócili się przeciwko Matce Bożej, ten problem uznają.

To, com przedstawił, jest nauką wyznawaną przez teologów zachodnich. W tej tak ważnej kwestii chciałem to zagadnienie oświetlić jeszcze ze strony teologów heterodoksyjnych, wschodnich.

Jest na Wschodzie sekta nestorianów, powstała w V wieku, właśnie na tle negacji Macierzyństwa Najświętszej Marii Pannie, a więc z natury swej herezja ta jest antymariańska. I dlatego jej świadectwo na korzyść naszego problemu jest bardzo znaczące. W książce anonimowej nestoriańskiej znajdujemy takie wyrażenia: Jak Ewa była przyczyną upadku Adama, tak Maria jest teraz przyczyną podniesienia Adama.

Świadectwo antynestorian — monofizytów, też heretyków, jest o wiele bogatsze niż nestorian. W myśl ich teologii Maria występuje jako uczestniczka dzieła swego Syna. Ona jest Pośredniczką między dwojgiem życia; przez Nią otrzymaliśmy wszystkie dary. W literaturze tej Maria jest wychwalana jako nadzieja ludzi, jako Pośredniczka, która znosi przekleństwo, wyjednywa łaskę..

W liturgii koptyjskiej Maria jest wymieniana nie tylko jako Pośredniczka między Bogiem i stworzeniem, ale też jako współdziałająca w dziele Odkupienia.

W liturgii bizantyjskiej idea pośrednictwa Marii jest jeszcze wyraźniej i mocniej podkreślona niż nawet w teologii zachodniej i to nie tylko w okresie przed odłączeniem się Wschodu od jedności z Kościołem katolickim, ale nawet po schizmie.

Przed IX w., w okresie jedności u podstaw mariologii bizantyjskiej, znajdowała się myśl św. Jana Damasceńskiego. Matka Boża, według niego, współdziała w dziele Odkupienia nie tylko fizycznie, lecz i moralnie przez swoje macierzyństwo. Podstawa naszej ekonomii zbawczej, mówił Święty, leży w połączeniu Bożej Rodzicielki z Synem, oraz w koncepcji Marii — nowej Ewy.

Po zerwaniu jedności z Kościołem katolickim ustosunkowanie się do problemu naszego u nich pozostaje to samo. Maria jest Panią, źródłem i korzeniem ludzkiego uwolnienia. A jeden z pisarzy mówi: Chrystus jest przyczyną, Maria współprzyczyną świętości i dóbr. Ona jest Bożą Pośredniczką w naszym zbawieniu. Inny znowu pisarz mówi, że Maria jest źródłem łask, które rozdziela; bez Jej wpływu nikt do zbawienia dojść nie może. Podstawa tego przywileju leży w stosunku Matki Bożej do Słowa, które z Niej dla siebie ciało wzięło.

Jeżeli dzisiaj, w dobie wielkich doświadczeń, jakie na ludzkość spadły, szukamy porozumienia się ze wszystkimi odłamami odpadłego chrześcijaństwa i budujemy pomosty, które chcemy przerzucić ponad przepaściami podziałów, to Matka Boża, do której wszyscy mamy wielki kult, staje się jedną z podstawowych i najważniejszych więzi. Wprawdzie wschodni prawosławni zajęli negatywne stanowisko zarówno do dogmatu Niepokalanego Poczęcia, jak i Wniebowzięcia, bo nie potrafili jeszcze wyzbyć się całkiem bezpodstawnego uporu i urazu do Kościoła katolickiego. Z drugiej strony jednak widzimy, jak Kościół katolicki ponawia wciąż próby pojednania się, wychodzi, jak Chrystus, aby szukać zbłąkanych owieczek.

Ks. M. Wojciechowski

Z życia katolickiego polskiej emigracji

Wizytacja ks. biskupa Gawliny w Danii. W związku z wizytacją ks. biskupa Gawliny podajemy, że w Danii znajduje się obecnie ponad 2.000 polskich uchodźców, którymi opiekuje się o. Szymaszko, redemptorysta. Ksiądz biskup Gawlina odwiedził wszystkie większe skupiska polskie w ciągu kilku ostatnich tygodni. Uchodzcy polscy pracują w przemyśle i rolnictwie duńskim. Dania, posiadająca 3 miliony 614 tysięcy ludności, liczy zaledwie 22 tys. katolików, obsługiwanych przez 99 księży, z których zaledwie 23 jest pochodzenia duńskiego. Kościół katolicki w Danii posiada 30 szkół, w których uczy się 1.425 dzieci. Hierarchia kościelna wydaje cztery czasopisma, w tym jeden tygodnik katolicki. W ostatnich latach daje się zauważyć wzrost liczby katolików w Danii, do czego przyczynił się między innymi napływ uchodźców polskich.

Doroczny zjazd i zebranie Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej. W dniach 19 i 20 stycznia br. w świetlicy przy kościele polskim w Londynie odbył się doroczny zjazd delegatów i działaczy Akcji Katolickiej z terenu Zjednoczonego Królestwa, zakończony statutowym zebraniem Rady Instytutu. Zjazd rozpoczął się w sobotę o g. 15.30. Referaty wygłosili ks. prał. W. Cieński, asystent kościelny Instytutu, i p. Jerzy Dołęga Kowalewski, po czym rozwinęła się interesująca dyskusja nad osiągnięciami Akcji Katolickiej w terenie. Po zakończeniu dyskusji odbyło się w kościele błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. W niedzielę Mszę św. o g. 10 odprawił ks. prał. Cieński i na tle wydarzeń z ziemskiego życia Pana Jezusa uwydatnił w kazaniu, jaką winna być działalność członków Akcji Katolickiej. Po śniadaniu odbyły się obrady nad sprawozdaniem Zarządu Instytutu i nad programem pracy na rok następny — obrady zakończyły się, po przerwie obiadowej, o godz. 5 po południu, po czym nastąpiło krótkie organizacyjne zebranie nowego Zarządu.

W czasie trwania zjazdu funkcjonowało stoisko prasowe „Veritasu".

Naczelny kapelan Harcerstwa Polskiego. Ordynariusz uchodźców polskich, ks. biskup Józef Gawlina, zamianował ks. kanonika A. R. Gogolińskiego naczelnym kapelanem Harcerstwa Polskiego za granicą.

Polska Sodalicja Mariańska. W Rzymie powstała Polska Sodalicja Mariańska, skupiająca w swych szeregach alumnów Papieskiego Kolegium Polskiego. Na pierwszym zebraniu ogólnym ukonstytułowały się dwie sekcje: mariologiczna, mająca na celu głębsze zapoznanie członków z życiem i nauką o Matce Boskiej oraz bibliotekarsko-kronikarska, mająca za zadanie opiekowanie się biblioteką Kolegium i, w miarę możności, wyszukiwanie mariańskich „poloniców" w Rzymie.

Polski Instytut Historyczny w Rzymie. Założony w r. 1945 Polski Instytut Historyczny w Rzymie liczy obecnie 30 członków czynnych. Celem tego instytutu jest koncentracja studiów historycznych na terenie Rzymu. Poza tym instytut pomaga uczonym polskim w poszukiwaniu źródeł historycznych w archiwach rzymskich oraz opiekuje się polskimi intelektualistmi.

Instytut wydał dotychczas kilka doskonale opracowanych publikacji naukowych. Organizuje on również miesięczne odczyty. Prezesem Instytutu jest ks. prałat Walerian Meysztowicz, sekretarzem ks. Madej z diecezji chicagowskiej. Ostatnie zebranie Instytutu poświęcone było sprawozdaniu z podróży ks. prał. Meysztowicza do Stanów Zjednoczonych.

MARIA WINOWSKA

TAJEMNICA KOŚCIOŁA *) (II)

Sprawując jedność Eucharystia tym samym zaszczepia, umacnia, pomnaża miłość: ku Bogu i ku człowiekowi. Oto znak przynależności do Chrystusa, do Kościoła. Że zaś nakaz nieskończenie przerasta siły człowiecze, na to, by uczynić mu zadość, musimy pozwolić Chrystusowi żyć w nas i rość. Bez jedności z Chrystusem nie ma prawdziwej miłości — Boga i bliźniego.

Toteż ci, którzy mienią się chrześcijanami lecz zarazem odcinają się dobrowolnie od źródeł chrześcijaństwa, sami siebie i nas wprowadzają w błąd. Łatwiej jeszcze wymówić się miłością Bożą; ale miłość bliźniego zakłamać się nie da, *jest sprawdzianem tamtej*. „Jeśliby kto rzekł, iż miłuje Boga, a brata swego nienawidził, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi jako może miłować?"

Taka więc cała różnolitość drzewa sprowadza się do jednego korzenia, jakim jest Chrystus, żyjący w Kościele, *będący Sam Kościołem*. Mocą wiary, darmo danej, chwytamy niejako tę tajemnicę. Przez Miłość — nie z nas — wrastamy w nią coraz głębiej. Jest to aspekt *wewnętrzny*, mistyczny Kościoła. Pozostaje jego aspekt zewnętrzny, widzialny, hierarchiczny, zorganizowany, który nieraz sobą przysłania tamten, który może w nas budzić mnóstwo sprzeciwów i zastrzeżeń, stać się nawet źródłem zgorszenia. Jak je pogodzić i wytłumaczyć?

Istnieje tania apologetyka, która gloryfikuje, bez zastrzeżeń wszystkie przejawy życia Kościoła, osoby, zdarzenia, instytucje, nieraz wbrew najoczywistszym, historycznym, faktom. W epokach naiwnych metoda ta nie była tak szkodliwa. Dziś, przy krytycznym nastawieniu umysłów, nieraz gorszy i oddala. Konfrontując z rzeczywistością ten obraz nierealny i bez skazy, katolik bądź to dochodzi do wniosku, że nauczanie religijne wprowadziło go w błąd, bądź też potępia Kościół widzialny, odbiegający w tylu punktach od nasuwanego mu ideału, a nawet sądzi, że te cienie i słabości są sprzeczne z istotą Kościoła i podważają jego fundament. Ten maksymalizm, często nie zawiniony gdyż, poczęty z dobrych intencji, kryje w istocie stary bakcyl gnostyki, godzący w samą istotę Kościoła i, co więcej, *w samego Chrystusa*.

Albowiem Chrystus to nie tylko Logos, odwieczny, ale *Słowo, które stało się ciałem*. Wiemy i słyszeliśmy niejednokrotnie z ust św. Pawła, iż, „On, który był w postaci Bożej, nie poczytał sobie za drapieżstwo, że był równym Bogu: ale wyniszczył samego siebie, przyjąwszy postać sługi, stawszy się na podobieństwo ludzi i postawą znaleziony jako człowiek" (Fil. II, 6).

Syn Boży jawi się nam w postaci ludzkiej; wieczność obleka się w czas, bezmiar w ograniczoność cielesną. W jednym i tym samym kształcie spotykają się i zespalają dwie z gruntu różne rzeczywistości: nadprzyrodzona, dostępna wierze i przyrodzona w widzialnym człowieczeństwie. Wszakże natura Boska i ludzka nie przeciwstawiają się sobie nawzajem w Osobie Słowa, lecz stanowią jedno, są jedna dla drugiej.

My, ludzie, mamy dostęp do Chrystusa Boga *tylko* przez Jego człowieczeństwo. Historyczne fakty Jego życia i Jego śmierci są punktem wyjścia i fundamentem całej doktryny chrześcijańskiej. „Per hominem Christum tendis ad Deum Christum", mówi wspaniale św. Augustyn, „przez Chrystusa Człowieka dosięgasz Chrystusa Boga". Człowieczeństwo Jego jest prawdziwym „sakramentem", znakiem widzialnym rzeczywistości niewidzialnej. Jeżeli jednak wzrok nasz cielesny zatrzymuje się wyłącznie na tym, co w Chrystusie widzialne, zmysłom dostępne i nie dopełniamy tego obrazu wejrzeniem wiary, możemy łatwo wpaść w zamęt i w zwątpienie. Tak stało się z żydami niewiernymi za czasów Chrystusa, którzy gorszyli się Nim i Jego słowami, dla których Chrystus był „kamieniem obrazy".

Wystarczy przejrzeć Ewangelię, aby odnaleźć mnóstwo dowodów owego zaślepienia. Oto człowiek, który je i pije, śmieje się i płacze, przestaje z grzesznikami i celnikami — i człowiek ten mieni się Synem Bożym! Więc faryzeusze i uczeni w Piśmie rozdzierają szaty: „Skądże temu ta mądrość i cuda? Izaż ten nie jest syn rzemieślniczy? Izaż Matki Jego nie zowią Maria, a braci Jego Jakób i Józef, Szymon i Judasz? I siostry Jego aza nie wszystkie u nas są? Skądże temu to wszystko? (Mat. XIII, 54ss.) A zresztą „możesz co dobrego być z Nazaretu?"

Niedowiarstwo żydów rosło w miarę jak nadzieje doczesne pokładane w Nim zaczęły się rozwiewać. Aż przyszedł na Syna Bożego moment ostatecznego wyniszczenia „exinanitio" w strasznej hańbie krzyża, gdy opuścili Go nawet uczniowie. Dopiero Zmartwychwstanie otworzy im oczy, w ogniu Ducha św. zahartują się na świadków nieustraszonych. Ten, który po trzykroć zaparł się Chrystusa, stanie się Jego opoką i klucznikiem łask.

Ale przygoda pierwszych uczniów przed wielką próbą krzyża będzie odtąd tłem dziejów chrześcijaństwa. Słowo Przedwieczne, utajone w Człowieczeństwie, doznu jakby powtórnego wyniszczenia w ludzkim słowie świadków. Nieomylne światło Ducha św. kierujące piórem ewangelistów, nie zatarło ich cech indywidualnych, ich swoistego temperamentu. Marek i Jan, Mateusz i Łukasz mają swój styl, ludzki styl. Słowa Pańskie, spamiętane jak najwierniej, jednak przechodzą przez pryzmat ich osobowości. Nie jest to już Dobra Nowina w jej „pierwszym znalazku i tryśnięciu źródlanym i rozkwicie", jak mówi Péguy, „kiedy to po raz pierwszy wyszła cieleśnie, wyszła doczesnie z ust Syna Bożego". Nauka Chrystusowa zachowała się w swej istocie, ale czar niewysłowiony pierwszej, bezpośredniej wypowiedzi doznał jakby przyćmienia. Powstały lekkie przesunięcia tekstów, powtórzenia, nawet różnice, które po wiek wieków dostarczać będą żerowiska racjonalnej krytyce, badającej Pismo św. oczyma cielesnymi. Czyż mamy nad tym ubolewać? Uchowaj Boże! Wszak „wyniszczenie" Słowa Bożego, zawierzonego naiwnemu przepowiadaniu prostaczków, jest tylko konsekwencją wyniszczenia „exinanitio" samego Słowa, które wstąpiło w ograniczoność cielesną.

Syn Boży stał się *człowiekiem* i *ludzkimi* sposobami buduje Kościół swój. Pychę naszą zawsze będzie zbijać z trepu pokora Boża, ubóstwo Boże, Jego „wyniszczenie". Przygoda pierwszych uczniów powtarza się w każdym pokoleniu: chcielibyśmy, żeby Jego Bóstwo rozbłysło się w całym majestacie, aby Królestwo Boże już dziś zajaśniało w blasku nieprzyćmionym. Ale wiara mówi nam, że właśnie w tej pokorze i w tym wyniszczeniu objawia się najzupełniej moc Boża. Chrystus nigdzie nie jest bardziej Królem, niż w koronie cierniowej i w płaszczu zelżywości i z trzciną miasto berła w dłoni.

By to pojąć, sam rozum nie wystarcza, jeśli nie uskrzydlimy go wiarą! Ona jedna „wypatruje głębokości Boże". Toteż wyniszczenie Słowa wcielonego jest i musi być do końca świata kamieniem obrazy dla wielu. Dlatego powiedział Pan: „Błogosławiony jest, który się ze mnie nie gorszy" (Mat. XI, 6).

Jak Bóg Człowiek, Kościół Jego nie jest tylko niewidzialną społecznością duchową, lecz wcieleniem Boskiego pierwiastka w dolę ziemską i człowieczą. Jego istota nadprzyrodzona objawia się nam również „w postaci niewolniczej". Lecz wyniszczenie, *exinanitio* Kościoła jest bez porównania głębsze niż wyszczenie Chrystusa i Jego słowa. Tłumaczy się to tym prostym faktem, że Kościół nie jest tylko samym Słowem uczłowieczonym, ale jego Ciałem *mistycznym*; naszym oczom cielesnym Bóg jawi się mniej przejrzyście w tym organiźmie społecznym, niż w osobie Jezusa z Nazaretu.

Co więcej, nie jedna zewnętrzna plama, nie jeden cień przysłania nam w Kościele Jego świętość istotną. Chcielibyśmy może brać wprost z rąk Chrystusa Łaskę zbawienną: to jest wielka pokusa protestantów. Ale Pan uczy nas, że nie mamy doń dostępu, jeno przez Jego Kościół. Jesteśmy więc zdani na pośrednictwo księży, nie zawsze wzorowych, — instytucji, nie zawsze budujących.

Bywają okresy wielkiego zgorszenia, gdy szafarzami Chrystusowego daru są jednostki niegodne. Ale nawet poza wielkimi uchybieniami przytłacza nas i drażni w Kościele to, co można by nazwać „ciężarem ciała". Pewna sztywność, pewien formalizm, pewna rutyna, cały aparat zewnętrzny, który przysłania bijący w głębi nurt Bożego życia. Wzrok nasz zatrzymuje się na tych pozorach, czasami odwraca się zgorszony. Wspominamy z żalem pierwsze lata chrześcijaństwa, gdy Dobra Nowina nie zakrzepła jeszcze w sztywnych formułach, nie najeżyła się lasem paragrafów. Chcielibyśmy, aby Kościół był inny, bez plam i bez skazy. Nie wiemy, że myśląc tak buntujemy się przeciw samemu założeniu Kościoła, którego misją jest wcielać Chrystusa w grzeszną z trudem dźwigającą się ludzkość. Albowiem Kościół nie jest tylko dla świętych, lecz również, lecz przede wszystkim dla grzeszników, których jak matka dziecko kalekie, cierpliwie i powoli ku świętości wiedzie. Wszak nawet święci ukanonizowani nie narodzili się świętymi, lecz kiedyś zaczęli iść ku Bogu, nieraz z bardzo daleka. „Kościół, mówi wspaniale Bossuet, to Chrystus rozpowszechniany i udostępniany" w przestrzeni i w czasie. „L'Eglise, c'est Jesus Christ, mais Jesus Christ repandu et communiqué". Nie masz ziemi tak jałowej i niewdzięcznej, nie masz czasu tak wrogiego i rozproszonego, żeby jednak Dobra Nowina nie szukała w nich schronienia, jak pielgrzym spracowany z drogi. Jakkolwiek nisko zejdziemy, Chrystus zstąpił jeszcze niżej.

Bratając się z celnikami i rozmawiając z jawnogrzesznicami faryzeuszom wszystkich wieków dał asumpt do zgorszenia. Nasze oczy cielesne dobrze widzą i trafnie — negować to byłoby śmiesznością — co w Kościele jest naganne. W dyskusji z niewierzącymi dość się nasłuchamy s ł u s z n y c h zarzutów, począwszy od błędów i nieporozumień scholastyki, od ciemnych kart inkwizycji, od tragedii Galileusza i Joanny d'Arc a kończąc na poziomie moralnym wielu jednostek wśród hierarchii i duchowieństwa zdradzających swoim życiem i przywiązaniem do dóbr doczesnych ubogiego Jezusa.

Czyżby broniąc Kościoła mielibyśmy wybielać to, co szare lub czarne? Nie! *Szanujmy świętość prawdy w imię Tego, który sam jest Prawdą!* Ale bardziej starajmy się wniknąć w *istotę* Kościoła, *w tajemnicę* jego *wielkości i jego wyniszczenia*; exinanitio. Ręce księdza niegodnego wciąż mają moc nad Ciałem i Krwią Pańską, dopóki ich nie ubezwładni werdykt Kościoła. Czyżbyśmy mieli być mniej z nim cierpliwi, mniej pokorni niż Bóg-Człowiek? Komunia dana ręką świętokradczą może stać się punktem wyjścia czyjejś świętości. I tak w Kościele było zawsze. Grzech i świętość nie są rozdzielone miedzą, ale na tym samym polu kąkol i pszenica rosną do czasu żniwa; *w tym samym nieraz sercu*. Ciało mistyczne Chrystusowe wrasta w ciało grzechu, by je przemienić, przeobrazić. Królestwo Boże jest w nas jak ferment błogosławiony i rozrasta się od wewnątrz. Mimo całej nędzy ludzkiej, przytłumiającej jego promienność, w istocie swej Kościół jest świętością Chrystusa. Bijące w nim źródło łaski ogarnia lądy, ogarnia wieki, każdą spotkaną, dobrą wolę wznosi do rangi uczestnictwa w życiu samego Boga. Posiew świętości, rzucony szczodrze i bez względu na rodzaj gleby i na grożące warunki atmosferyczne („Człowiek niektóry peszedł siać..."), marnieje w prawdzie i przepada na opoce serc, wpośród cierni „pieczołowania świata tego", pod słońcem szałana — ale zawsze pewna ilość ziarna zapada w dobrą ziemię, rośnie łanem świętych, *tych żywych świadków Chrystusa i Kościoła*.

Chrystus rozrastając się w Kościele do pełni Ciała mistycznego poddaje się prawom przestrzeni i czasu i zdaje się na łaskę swych przedstawicieli. To wyniszczenie, exinanitio, jest prostą konsekwencją owego pierwszego wyniszczenia, gdy Syn Boga przedwiecznego „przyjął postać sługi i sam się poniżył stawszy się posłusznym aż do śmierci: a śmierci krzyżowej". Teleż gorsząc się tym, co w Kościele „nazbyt ludzkie" (Nietzsche: — „allzumenschlich"), grzeszymy niejako przeciwko *logice* Wcielenia, popadamy w błąd gnostyków i krzewicieli angelizmu. Musimy przyjąć Kościół takim, jakim jest, cielesnym i duchowym, ludzkim i nadludzkim, złożonym nie tylko ze świętych, ale także, w przytłaczającej większości, z członków grzesznych. Uczmy się pokory od Słowa Wcielonego. I niech nam wzrok cielesny nie przysłania oczu wiary, poza skorupą nieraz rubaszną, starajmy się rozeznać rysy „Słodkiej Oblubienicy Chrystusowej", l a d o l c e S p o s a, jak go zwie wielka św. Katarzyna Sjeneńska.

Kamieniem węgielnym chrześcijaństwa jest dogmat Wcielenia, który jedna i utożsamia to, co ludzkie, z tym, co Boże, to, co w czasie, z tym co wieczne, to, co ograniczone i to, co nieskończone. Tylko w tej perspektywie możemy pojąć Chrystusa i Jego Kościół. Jesteśmy w drodze, i n s t a t u v i a e, daleko od mety. Wedle sił i dobrej woli współdziałamy wszyscy „w budowaniu Ciała Chrystusowego, ażebyśmy się wszyscy zeszli w jedność wiary i poznania Syna Bożego, w męża doskonałego, w miarę wieku zupełności Chrystusowej" (Ef. IV). Nasza nadzieja i nasza wiara nie obiecują nam wypełnienia tu na ziemi, ale t a m. Chrześcijaństwo, któregośmy żywą cząstką, nie jest kresem, lecz etapem. Głosząc już tu „teologię chwały" fałszujemy rzeczywistość człowieczą, rzeczywistość Kościoła, prawdę Słowa Wcielonego, zdradzamy t e o l o g i ę k r z y ż a, pod której znakiem płyną dzieje i rośnie Ciało mistyczne b e z p r a w n i e w y p r z e d z a m y dzień ostatecz-ny. Musimy przyjąć Chrystusa takim, jakim się nam daje, w ubóstwie Człowieczeństwa, w wyniszczeniu Krzyża, w pokornym i cichym kształcie Chleba, pod postacią Kościoła. I na odwrót; odrzucając jedną z tych form Wcielenia, odcinamy się od Chrystusa. Tu nie można w y b i e r a ć (hajrezis=herezja), *musimy brać wszystko albo nic*. Ale wiedzmy, że w tym „wszystko" wypełnia się nasz sens człowieczy.

Chrystus jest tak bardzo odpowiedzią na odwieczne tęsknoty ludzkości, że nie ma człowieka, o którym by można rzec, że nigdy go nie szukał — i nigdy nie znalazł, choćby na przeciąg chwili (Boga nie szuka się daremnie, „tu ne me chercherais pas si tu ne m'avais trouvé", mówi Jezus do Pascala). Ale wielu nie zna nazwy swojej tęsknoty. Nie wiedzą, *Kogo* szukają. Pytają się o bezdroża, błądzą — i nawet błędem świadczą Prawdzie (wszak i błąd ż y j e jak pasożyt z Prawdy). Oto ci, którzy w głębi własnej duszy, zazdrośnie odosobnionej, szukają swojej tajemnicy, swojego imienia. Ale „ciemna czeluść" („mare tenebrarum") nie odsłoni im swych mrocznych głębin, nie zdradzi im swego dna. Rozumieją poniewczasie, że nad swoją duszą nie mają władzy, że o własnych siłach być s o b ą nie potrafią. I wówczas może, nareszcie, zawołają za św. Augustynem: „Dla siebie uczyniłeś nas, o Panie, i niezaspokojone jest serce moje, dokąd nie spocznie w Tobie, Boże!"

Oto inni, szukający doskonałego braterstwa, prawdziwej wspólnoty. Nieomylny instynkt mówi im, że są cząstką wielkiej całości. I cóż z tego, że samozwańcze mity wyzyskują tę tęsknotę, *kłamią jedność?* Ani rasa, ani krew, ani państwo ubóstwione, ani klasa nie zaspokoją ich głodu. Wszystkie *te karykatury Kościoła* świadczą tylko *prawdzie* natury człowieczej, z istoty swej chrześcijańskiej. Zamiast chleba dają im trociny — od namiastek rośnie głód! Aż przyjdzie chwila, gdy pojmą nareszcie, że *mił nic nijedna* i że prawdziwej wspólnoty szukać należy nie w czymś, ale w K i m ś, kto zawarował do niej cręgę i klucz. Czy chcemy, czy nie chcemy, czy wiemy, czy nie wiemy, na zakrętach wszystkich naszych dróg czeka na nas Słowo, które s t a ł o s i ę Ciałem: nie sobie, ale *nam*.

Maria Winowska

*) Pierwszą część art. p.t. „Tajemnica Kościoła" ukazała się w poprzednim numerze ŻYCIA.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

HUMANIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

W Rzymie ukazała się zbiorowa praca „Humanizm i świat chrześcijański"; celem jej jest wykaz nie, że Chrześcijaństwo jest Humanizmem przez duże H.

Pisząc o tej pracy „Osservatore Romano" zamieścił następujące uwagi: Jeżeli chce się rzeczywiście zaefiniować humanizm jako ruch duchowy, którego podstawą jest uznanie wartości właściwych człowiekowi, trzeba rozróżnić między człowiekiem ziemskim, którego przeznaczenie jest ograniczone, a człowiekiem nieśmiertelnym, którego istnienie trwa poza życie ciała. Humanizm chrześcijański nie może nie interesować się, jakby wyłącznie, tym człowiekiem nieśmiertelnym, protagonistą w wielkim dramacie Ducha w poszukiwaniu swego Stwórcy. W przeciwieństwie do różnych humanizmów (nietscheańskiego, marksistowskiego i egzystencjalistycznego), które mają wspólny błąd ograniczania do tej ziemi wywyższania przez nie człowieka, wznosi się humanizm chrześcijański, jedynie godny tej nazwy, ponieważ zajmuje się człowiekiem pod wszystkimi jego aspektami i to przede wszystkim pod tymi, co są najwznioślejsze i wiąże w nim pielgrzyma (homo viator — według pięknego określenia Gabriela Marcela) w pochodz e do celu, który przewyższa wszystko, co czysto ziemskie.

Niektórzy pisarze skłaniający się ku pogaństwu zaprzeczyli Chrześcijaństwu możliwości uważania się za humanizm, ponieważ, idąc w ślady piewców starożytności jako całkowitej harmonii i piękności, widzą w Chrześcijaństwie tylko twardą i szarą naukę, która potrafi jedynie zwalczać złe instynkty człowieka. Że twierdzenie, iż Chrześcijaństwo jest nieudolne do pojmowania piękna i do stania się źródłem piękności, jest czystą kalumnią, zostało udowodnione przez wielką ilość dzieł sztuki stworzonych przez artystów chrześcijańskich i to dzieł wcale nie niższych pod względem estetyki, a na pewno pod względem głębi myśli wyższych od najbardziej wychwalanych dzieł sztuki pogańskiej.

Annuario Pontificio 1952. Następujące zmiany podaje ostatni Rocznik Papieski (Annuario Pontificio): ilość rezydencjalnych stolic metropolitalnych wzrosła z 262 na 277, biskupich z 1.074 na 1.111 tytularnych metropolij, arcybiskupstw i biskupstw z 846 na 857; zmiejszyła się liczba wikariatów apostolskich i prefektur apostolskich z powodu zmiany tych obszarów misyjnych na normalny zarząd diecezjalny: w ten sposób obecnie wikariatów apostolskich jest 236 zamiast 251, a prefektur 126 zamiast 131. W czasie dotychczasowego Pontyfikatu obecnego Ojca św. zostało utworzonych nowych stolic arcybiskupich i biskupich 85; 23 wikariaty apostolskie zostały podniesione do godności arcybiskupstw, a 90 wikariatów, 9 prefektur i 1 misja do godności biskupstw; zostało utworzonych nowych wikariatów apostolskich 86 i nowych prefektur apostol. 53.

Wzowienie działalności antyreligijnej w Rosji. Radio londyńskie podało, że z rozpoczęciem Adwentu w roku zeszłym zostały w Rosji wzrowione ataki na religię. Przez kilka miesięcy przedtem prasa i radio sowieckie ograniczyły się do szerzenia fałszywych wiadomości o ekonomicznej i politycznej działalności Watykanu. Powodem chwilowego zawieszenia kampanii antyreligijnej miała być chęć ułatwienia zebrania w różnych krajach na ziemi jak największej ilości podpisów pod znanym komunistycznym manifestem „pokoju".

Katolicyzm w krajach skandynawskich. Liga św. Ansgarego w Nowym Jorku ogłosiła dane statystyczne o katolikach w krajach skandynawskich. W Danii jest 22.000 katolików na 3.614.000 mieszkańców; w Szwecji 18.500 na 6.986.180; w Norwegii 4.890 na 2.846.000; w Islandii 500 na 127.770; w Finlandii 1.870 na 4.052.177. W Danii jest 30 szkół katolickich z 1.425 uczniami, w Szwecji 6 z 300 uczniami; w Norwegii 10 z 386 uczniami; w Islandii 2 z 259 uczniami; w Finlandii 1 z 280 uczniami.

Propaganda ateizmu w Polsce pod pokrywką nauki. Na rynek polski wypuszczono olbrzymie ilości IV tomu prac fizjologa prof. Iwana Pawłowa. Książkę tę wydrukowano w Moskwie w wielu milionach egzemplarzy i w kilku językach. Zaopatrzono ją odpowiednimi komentarzami i przedstawiono Pawłowa jako aktywistę i pioniera komunistycznego materializmu. W komentarzach Pawłow przedstawiony jest jako fizjolog marksizmu, który udowadnia, że człowiek nie jest niczym innym jak splotem nerwów i mięśni, zawieszonych na systemie kostnym. Książka jest propagandą ateizmu.

SPRAWY KRAJOWE

KOMUNISTYCZNA POLITYKA „ZAOPATRZENIA"

Ekonomowie Stalina w Warszawie mają sobie powierzone dwa podstawowe zadania. Po pierwsze, mają oni s p r o l e t a r y z o w a ć społeczeństwo polskie. W kraju nie może istnieć żaden samodzielny warsztat gospodarczy i żaden człowiek, pracujący „na swoim". Wszyscy mają zamienić się na pracowników najemnych w służbie komunistycznego państwa. To zadanie wykonywane jest z całą bezwzględnością przez narzucony Polsce przez Sowiety i przez nie kontrolowany tak zwany „rząd warszawski". Fabryki, warsztaty rzemieślnicze, handel, przedsiębiorstwa komunikacyjne, zagrody chłopskie, wolne zawody, gwałtownie „socjalizuje się", czyli po prostu oddaje w absolutną zależność od komunistycznej administracji.

Interes Rosji sowieckiej w tego rodzaju proletaryzowaniu Polaków jest oczywisty. Rosja sądzi, że wszyscy będą jej posłuszni, skoro przestaną być niezależni gospodarczo. Więc jej ekonomowie w Warszawie ze skóry wyłażą, aby to zadanie wykonać. Poza częściowo jeszcze wolnymi i stale szykanowanymi chłopami sproletaryzowano już wszystkich. Jednocześnie przez różne „reformy pieniężne" i zarządzenia zabrano społeczeństwu oszczędności. Z wolnych ludzi zrobiono najmitów, czekających z utęsknieniem końca miesiąca, aby otrzymać wyznaczoną im głodową pensję. Robotnikom zabroniono strajkować dla poprawy warunków bytu, a ze związków zawodowych uczyniono naganiaczy do zwiększenia pracy bez odpowiedniego zwiększenia zarobku.

Drugim zadaniem stalinowskich ekonomów jest e k s p l o a t a c j a g o s p o d a r c z a powierzonych im terenów. Pod obłudnym hasłem rzekomej pomocy tzw. „wielkiego Związku Radzieckiego" uprawia się ordynarny rabunek, starannie ukrywany przez propagandę. Rosja sowiecka cyka swym satelitom skromne kredyty w pozbawionych wszelkiej wartości międzynarodowej rublach, a najczęściej w towarach i maszynach, za które każe sobie płacić gotowymi wyrobami. Powstają w ten sposób wprawdzie nowe fabryki i urządzenia, wznoszone w pocie czoła przez źle opłacanych inżynierów i robotników, ale niewiele z produkowanych w tych fabrykach towarów pozostaje w kraju.

Apetyty sowieckie rosną w miarę połykania coraz to większych połaci świata i przygotowywania ambitnych planów podboju nowych terenów. Koreańczykom, Chińczykom i innym narodom kolorowym, które podburza się przeciwko światu zachodniemu, trzeba pomagać. Robi się więc hałas o „pokój", a jednocześnie gromadzi w magazynach sowieckich środki wojny.

Konsekwencje tej obłudnej polityki dały się ostatnio mocno odczuć we wszystkich krajach wschodnio-europejskich, znajdujących się pod okupacją sowiecką. Od paru miesięcy zabrano się z całą brutalnością do m o b i l i z a c j i ś r o d k ó w ż y w n o ś c i o w y c h. Chłopom nie tylko zabrano zboże, nie tylko zakazano im sprzedawania mięsa poza aparatem komunistycznego handlu, ale również przeprowadzono dekretem obowiązek d o s t a w z i e m n i a k ó w. Wiadomo! W Rosji, na Korei i w Chinach ludzie muszą jeść, a produkuje się mało, gdyż mało jest entuzjastów do zwiększonej pracy w systemie komunistycznego ucisku. Osławionemu sowieckiemu profesorowi Miczurinowi nie udało się skrzyżować kartofla z dynią. Na miczurinowskim polu doświadczalnym wszystko rodzi się znakomicie, ale w Rosji sowieckiej na niektórych obszarach orze się jeszcze sochą. Więc póki można zaopatrzyć się na terenach zagrabionych, zabrać i dostarczyć do spichlerzy sowieckich po takich cenach! Ktoś tam później będzie bił czołem przed „wielkim Stalinem" za parę metrów łaskawie wydzielonego z sowieckich magazynów żyta, ziemniaków, czy za parę puszek konserw.

W Polsce pospolity ten sowiecki r a b u n e k uprawia się pod hasłem rzekomej „troski o robotników i pracowników". Dlaczego chłopom zabrano zboże i dlaczego wyciąga się jeszcze dzisiaj przez tzw. „aparat skupu zboża" ostatnie korce? Armia komunistycznych propagandzistów robi hałas, że to rzekomo w „trosce o robotników i pracowników w miastach". Ale w miastach — mimo tego rabunku — skomunizowane piekarnie nadal pieką kiepski chleb, którego w wielu miejscowościach brak. Na wsi zakazano uboju żywca, obozy koncentracyjne zapełniono tzw. „spekulantami mięsnymi". Pan Hilary Minc musiał niedawno przyznać, że na wsi i w miastach istnieją ogromne trudności w zaopatrzeniu w m i ę s o. Ale z ogłoszonego niedawno komunikatu o wykonaniu Planu Gospodarczego za IV kwartał ub. roku wynika, że przemysł konserwowy pracuje pełną parą. Uruchomiono więc drakońską akcję zakazu sprzedaży mięsa ze wsi do miasta, w miastach nie ma mięsa w jatkach, ale k o n s e r w y płyną szeroką strugą z nowych fabryk i giną na niezmierzonych sowieckich przestrzeniach. Oczywiście, wszystko to również w „trosce o robotników i pracowników" w polskich miastach!

Dekret o dostawie z i e m n i a k ó w propaganda komunistyczna motywowała też tą samą troską o robotników i pracowników. Rząd sowiecki w Warszawie tak bardzo troszczy się rzekomo o ten świat pracy, ale wszystkie te jego „troskliwe" zarządzenia i dekrety, ani rusz jakoś nie poprawiają sytuacji aprowizacyjnej w miastach ani też nie polepszają ciężkiej doli źle płatnych najmitów w służbie komunistycznego kapitalizmu. Komuniści są jednak niewyczerpani w pomysłach. Pan Minc nie na darmo urodził się w burżujskiej rodzinie kapitalistycznej i ma „kiepełę" nie do pozłoty. Ekonomuje dla Stalina, wyciska z robotników polskich znanymi „kapitalistycznymi" metodami ostatnie poty, a dla poprawienia ich bytu wymyślił O d d z i a ł y Z a o p a t r z e n i a R o b o t n i c z e g o.

Te Oddziały Zaopatrzenia Robotniczego — to całkiem świeży wymysł sowieckich komunistów w Polsce. Powoływane są przy wielkich zakładach produkcyjnych. Jeden z pierwszych takich Oddziałów powstał już przy Zakładach Samochodów Ciężarowych w Starachowicach. Po co się te oddziały powołuje? Oto mają one — oczywiście również „w trosce o sprawy bytowe robotników" — organizować i udoskonalać zakładowe punkty żywienia zbiorowego oraz tworzyć placówki usługowe, jak warsztaty krawieckie, szewskie, fryzjerskie itp.

Trudno o bardziej wymowny dowód smutnych rezultatów ośmioletniej sowieckiej polityki gospodarczej na ziemiach polskich, jak właśnie powoływanie obecnie tych Oddziałów Zaopatrzenia Robotniczego. Upaństwowiono w Polsce i sproletaryzowano rzekomo w trosce o interesy robotnicze 160.000 sklepów handlowych, 140.000 warsztatów robotniczych, około 20.000 zakładów gastronomicznych. Powołano na ich miejsce komunistyczne przedsiębiorstwa skupu, sklepy spółdzielni gminnych, sklepy miejskiego handlu detalicznego, Powszechne Domy Towarowe, gastronomie i stołówki różnego autoramentu! Chłopom zabiera się wszystko od zboża do ziemniaków. Wszystko w rzekomej „trosce o interesy robotnicze"! I oto w tej samej trosce komuniści powoływać dziś muszą nowe instytucje „dla organizowania i usprawnienia żywienia zbiorowego"! Po prostu dlatego, że muszą coś robić, bo r o b o t n i k w P o l s c e, o którego się tak władze rzekomo troszczą, niedojada. Nowa organizacja ma tworzyć również placówki usługowe, jak warsztaty krawieckie, szewskie itp. W m i a s t a c h, po zlikwidowaniu wolnego rzemiosła, jest i w tym zakresie tak samo źle, jak na w s i, gdzie z wiosną 1951 r. podjęto podobną akcję tworzenia punktów usługowych.

Będzie więc nowa organizacja i nowi urzędnicy z zadaniem troszczenia się o dolę robotników polskich, którym nie ma już kto przez proletaryzację powszechną — naprawiać ubrań i butów. Będzie się usprawniać fabryczne stołówki, które nie dostaną jednak wieprzowiny, bo ta wędrować będzie nadal w puszkach do Rosji.

J. R.

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE ARTYKUŁU O NAUKACH PRZYRODNICZYCH

Szanowny Panie Redaktorze!

W doskonały artykuł Tadeusza Świąteckiego „Nauki przyrodnicze" (ŻYCIE Nr 2/238) wkradło się kilka drobnych niejasności, nieuniknionych zresztą przy koniecznych — wobec rozległości materiału i ram artykułu — skrótach.

W pierwszy rzędzie twierdzenie, jakoby pojęcie takie, jak „forma, przyczyna" w znaczeniu arystotelesowym były „obecnie wyeliminowane z terminologii naukowej" jest słuszne tylko wtedy, jeśli się powie „z terminologii nauk przyrodniczych". W filozofii bowiem neo-tomistycznej pojęć tych używa się nadal w ich arystotelesowym znaczeniu. A filozofia jest przecież nie tylko nauką, ale i królową nauk!

Trudno by mi było również pogodzić się z twierdzeniem, że „nowocześni uczeni są o wiele ostrożniejsi i skromniejsi w formułowaniu postulatów, wkraczających w dziedzinę metafizyki".

Przecież cały bogoburczy materializm 19 wieku nie jest niczym innym, niż nieostrożnym i zarozumiałym formułowaniem wniosków filozoficznych z materiału tak dalece fragmentarycznego, że wszystkie nieomal na nim oparte teorie prysły w krótkim czasie, pod naporem nowych faktów, niby bańki mydlane. A że szatan pychy panuje nadal w umysłach wielu uczonych dzisiejszych, łatwo przekonać się o tym, czytając niedawne wypowiedzi uczonych takich, jak astronom Fred Hoyl, lub biologowie Julian Huxley i C. D. Darlington.

W zdaniu wreszcie, że postulaty geometrii greckiej są dziś „ogólnie przyjęte" i „równie prawdziwe... jak w czasach starożytnych" wypowiedział autor twierdzenie, którego na pewno nie miał na myśli. Chciał on zapewne powiedzieć, i słusznie, że geometria euklidesowa jest dziś najpowszechniej stosowanym typem geometrii. Po pracach jednak Riemana, Łobaczewskiego, a zwłaszcza Hilberta, nie można twierdzić, jakoby od czasów Euklidesa „nie zdołano uczynić żadnego postępu w tej dziedzinie", ani by geometria euklidesowa była geometrią jedyną, skoro wiemy doskonale, że jest ona tylko jednym z bardzo wielu możliwych typów geometrii. A w wyniku prac szkoły logistycznej (w której tak wybitną rolę odegrali uczeni polscy z Leśniewskim, Łukasiewiczem i o. Bocheńskim na czele) wiemy doskonale, że twierdzenie, iż jakiś system geometrii „jest prawdziwy", w ogóle nie ma sensu. Nawet gdyby określenie „prawdziwości" ograniczyć do wąskiego i w ogólnych celach nauki geometrii raczej drugorzędnego znaczenia większej dogodności przy opisie zjawisk fizycznych, to nawet i wtedy „prawdziwość" geometrii euklidesowej byłaby mocno ograniczona, skoro przy większym zgłębianiu tych zjawisk (teoria względności) stosować należy właśnie geometrię nieeuklidesową.

Powyższe uzupełnienia raczej, niż sprostowania, w niczym oczywiście nie ujmują wartości pracy T. Świąteckiego, napisanej ze swadą i głęboką znajomością rzeczy, pracy, na której ciąg dalszy czekam z prawdziwą niecierpliwością.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

T. Felsztyn

CZAS WPŁACAĆ PRENUMERATĘ ZA I KWARTAŁ 1952 R.

PO ŁEPKACH

SPADEK PO GAWĘDZIE

Narodowym polskim rodzajem literackim, ulubioną formą wypowiadania się pisarzy była przez długie wieki gawęda. Nawet poezja, triumfująca w XIX stuleciu, nie zdołała przyćmić blasku gawędy. Na okres romantyzmu przypada równoczesny rozkwit gawędy szlacheckiej, zarówno w prozie, jak w poezji. Gawędami są nie tylko „Mohort" czy „Urodzony Jan Dęboróg", ale nawet w pewnym stopniu i „Pan Tadeusz" — „historia szlachecka".

Cios pozornie śmiertelny zadała gawędzie dopiero powieść, a szczególnie jej odmiana „romansu - rzeki". Wybitni gawędziarze naszych czasów, a więc Melchior Wańkowicz i Witold Gombrowicz swoją wyraźną odrębnością na tle współczesnego piśmiennictwa, wprost anachronizmem, zdają się potwierdzać zmierzch narodowego rodzaju pisarskiego. Ich twórczość przypomina nagłe blaski dogasającej lampy.

Gawęda ustąpiła jednak tylko z literatury. Rozpanoszyła się natomiast w życiu. Zeszła ze świecznika sztuki, a weszła w krew narodu. Polacy są urodzonymi gawędziarzami i uwielbiają gawędziarstwo.

Gawędziarstwo oznacza lubowanie się w barwnym i rozlewnym opowiadaniu rzeczy wesołych, na traktowaniu wszystkich spraw i problemów życia powierzchownie, lekko i pogodnie, na faworyzowaniu wreszcie zmyślenia i fantazji przy niechęci do surowej prawdy. W piśmiennictwie polskim ze świecą trzeba szukać pasji prawdy w labiryncie ozdobnego gadulstwa. Kult zwięzłości nigdy nie cechował Polaków ani w życiu ani w literaturze. Tylko bardzo wybitne umysły, jak Herakliusz Lubomirski („Salomon polski"), Aleksander Fredro, Mickiewicz i Słowacki rozumieli piękno aforyzmu i krótkiej myśli. Myśleć trzeba było mieć w Polsce odwagę. Za tę odwagę wybito medal Konarskiemu. Na dobre myśląca literatura zaczyna się chyba dopiero od Aleksandra Świętochowskiego — „Posła Prawdy".

Styl dawnej naszej literatury zachował się w życiu powszednim. Zamiłowanie do bałagulstwa, plotki i anegdoty jest pospólną polską cechą. Ludzie obdarzeni zdolnością mielenia językiem i pamięcią dowcipów są rozrywani. Doświadczony człowiek, to taki, co potrafi na każdą okoliczność przytoczyć odpowiednią przygodę z własnego życia. Mądry to taki, co sypie anegdotami jak z rękawa. Prawda jest w mniejszej u nas cenie, niż gładki frazes. Więcej — styl życia wielu Polaków jest anegdotyczny. Jest to mianowicie ustawiczne polowanie na przygody, życie od przygody do przygody, niechęć do życiowego ustatkowania się.

Bohaterami naszymi na codzień są awanturnicy. Imponują nam jeszcze po dziś dzień szramy po pojedynkach i blizny po kuflach, zabobonny szacunek otacza hulaków i pijanice. Zbójnicy, nasi lądowi korsarze, są umiłowanym tematem pieśni gminnej. A małoż to ballad śpiewa się po podwórkach o sławnych bandytach? Życie bez przygód jest u nas w powszechnej pogardzie. Przygody owe polegają zresztą głównie na bujnej wyobraźni, na koloryzowaniu błahych wydarzeń, na podszywaniu się pod cudze czyny. Iluż to urojonych bohaterów przysporzyły nam fronty wojenne, a zwłaszcza walka podziemna w Kraju!

Anegdota jest wnuczką gawędy. Żadna argumentacja nie przemawia do nas silniej od anegdoty. Najbardziej wymyślone sposoby podtrzymywania „morale" walczących oddziałów były zawsze na frontach przyjmowane z drwinkami i wzruszeniem ramion. Za to nic mocniej nie syciło dumy polskiej od takiej np. anegdoty: „Podobnież Hitler miał powiedzieć do Goeringa: daj mi 2 Polski Korpus, a w miesiąc będę we Władywostoku!" Kij ma oczywiście dwa końce, tedy też i upodobanie w anegdocie ma swój biegun ujemny. Jest nim przejmowanie się pogłoską i plotką, nieumiejętność przebierania ziarna od plewy, co jest klasyczną cechą gawędy.

W naszym piśmiennictwie współczesnym miejsce regularnej gawędy zajęła anegdota. Felietonistyka polska stawia bardzo rzadko problemy i wyjątkowo pobudza do myślenia. Są to natomiast albo surmy patriotyczne albo kaskady paradoksów, roje kalamburów, mgławice dowcipów i anegdoty, anegdoty! Zełgane niemal doszczętnie, ale zato zabawne. Anegdotą nie gardzą politycy, a nawet publicyści katoliccy od czasu do czasu z ploteczki strugają fakty. Życiorysy wielkich naszych, to zbiory anegdot. Cóż przeciętny Polak wie o legendarnym Wieniawie? Kilka raczej tłustych opowiastek. Przykłady takie możnaby mnożyć bez liku.

Jakiej to estymy zażywają nasi pięknie pisujący łgarze, blagierzy i ignoranci! Ileż wkoło nich kadzidła, jakie potoki komplementów: a jaki cięty, a jaki uroczy, a jaki bezpośredni! Niewyparzony język — oto sztuka. Tak samo w krytyce literackiej facecje zastępują oceny, opowieści o osobistych zażyłościach — sądy.

Ileż to szkód wyrządziło katolicyzmowi polskiemu anegdotyczne traktowanie religii! Możnaby na ten temat napisać całe studium.

Anegdota posiada oczywiście swój urok, zwłaszcza w fikcji literackiej. Nie może jednak zastąpić wszystkiego. Kult anegdoty niezmiernie rozdęty zastępuje bowiem myślenie. Poszukiwanie przygód jest oszukiwaniem woli, zaś zamiłowanie w anegdocie jest ucieczką od prawdy.

J. B.

WACŁAW GRUBIŃSKI

NIEWINNE NIEDYSKRECJE (6)

„W KLUBIE" U MIKI*)

VI. PROTASZEWICZ — ZARZYCKI

Andrzej Zarzycki był okrągły jak pączek; Ignacy Protaszewicz, równie małego wzrostu jak Zarzycki, był chudy, blady, o smutnym spojrzeniu szaro-niebieskich oczu. Mówił flegmatycznie, prawie niedosłyszalnie, a to, co mówił, brzmiało sentymentalnie, nawet tkliwie, w treści zaś było złośliwe. Jadła go gruźlica.

Poznałem go u Przybyszewskich. Przyjechał do Warszawy z Monachium lub z Krakowa, nie pamiętam. Rozpoczął malowanie portretu pani Przybyszewskiej. Nigdy tego portretu naturalnej wielkości nie skończył, bo brakowało pieniędzy na farbę i wkrótce Przybyszewscy wyjechali do Bawarii. A zapowiadał się ten portret świetnie.

Poza tym zrobił dwa małe szkice portretowe ołówkiem; dwie głowy; panią Ichę profilem, Stacha „trzy czwarte"; obydwie prace wyborne pod względem czystości i wymowności linii i znakomicie uchwyconego podobieństwa nie tylko rysów twarzy, ale i psychicznego wyrazu tych tragicznych ludzi, żyjących jakby we śnie (powiedzmy — w koszmarze).

Dał również naturalnej wielkości pastelowy szary szkic głowy pani Przybyszewskiej, tylko usta zrobił czerwienią. Wydawało mi się to dziwaczne, ale było ładne.

Usta pani Jadwigi nie należały do typu owych pulchnych ust Maryni Połanieckiej, z tak wyraźną przyjemnością opisanych przez Sienkiewicza. Były to usta pięknie wykrojone, ale wąskie i rzadko się uśmiechające. I właśnie te usta, najczęściej zaciśnięte i raczej blade, Protaszewicz dał w kolorze prawie wiśniowym. Dlatego zapewne ten szczegół mnie uderzył.

Zarzycki i Protaszewicz byli przyjaciółmi, którzy się nie lubili. Ciągnęło się to od szkolnej ławy. U Miki witali się kiwnięciem nie tyle głowy, ile rzęs i nigdy ze sobą nie rozmawiali. Zarzycki unikał nawet wzroku Protaszewicza. Protaszewicz zaś swoimi wielkimi oczami kładł się na Zarzyckim niby otworami dubeltówki o podniesionych kurkach i trwał w tej pozycji nieruchomo, co Zarzyckiemu nieraz psuło jego jowialny tok opowiadania. A opowiadać lubił i opowiadał dobrze.

Pociągały go najbardziej dwa tematy: Chiny i Monte Carlo. Rozwodził się niemal z mlaskaniem języka o mądrości ostatniej cesarzowej chińskiej, o najtajniejszych intrygach dworu pekińskiego, o subtelnościach sztuki narodów żółtych albo o swoich wyprawach do Monte Carlo.

Monte Carlo go fascynowało, powiedziałbym, bajecznie: jak czarodziejska jaskinia Sezam urzekała Ali Babę (czy jego brata?). Oto leżą skarby tuż za skałą! Można je przejąć na własność, jeżeli się odgadnie słowo zaklęcia. Więc opowiadał o kasynie gry, o typach mężczyzn i kobiet, obsiadujących ruletę, o figlach kulki, skaczącej po numerach, o klekocie grabek krupierskich, przesuwających pieniądze przegrane i wygrane... Wtem spotykał się z oczami cichego Protaszewicza! Czytał w tych oczach wyraźnie:

— Oblizujesz się, łyku, na widok gotówki, której nigdy nie dostaniesz!

Tak wymowny wzrok nie mógł nie ostudzić najgoręcej płynącej narracji. Zmarszczywszy rzadkie brwi Zarzycki zapalał papierosa. Drżały mu palce.

Miał Protaszewicz za złe malutkiemu Zarzyckiemu jego „obrotność" życiową. Sam nie umiał się starać o zamówienia na malowanie portretów czy na robienie ilustracji do czasopism, przy czym uważał Zarzyckiego za kiepskiego artystę. Kiedyś mi powiedział swoim tkliwym, obolałym głosem, że Zarzycki umie rysować tylko prostymi kreskami.

— Nie potrafi ciągnąć linii. Kanty i kanty! Niech pan rzuci okiem na pański portrecik w „Książnicy". Same kanciaste kreski! Gdzie tu życie? To jest drut kolczasty, nie wyobrażenie żywej istoty!

(Mowa o zamówionej przez Stefana Sierzputowskiego mojej podobiźnie do tomiku pt. „Uczta Baltazara").

Kto by jednak sądził z powiedzianego przed chwilą, że Ignacy Protaszewicz był kąśliwym zawistnikiem, przyczajonym w cieniu, ten by się bardzo mylił. Z braku sił fizycznych wypowiadał się nie głośno, a w rzekomej jego zawiści dźwięczało najdowcipniejsze poczucie humoru. Nie był zły ani okrutny albo raczej był okrutny niewinnie, przez samą zdolność obserwacji. Bystry i bezstronny obserwator wydaje się nam okrutny, bo wychowawcy uczą nas od dziecka nie rzeczywistej natury człowieka, ale ideału, jaki dwonóg ludzki stanowić powinien.

Ale nie o to w tej chwili chodzi. Pragnę jedynie powiedzieć, że Protaszewicz był dowcipnym obserwatorem, dającym nieraz w słowie upust swemu humorowi. Zresztą nie tylko w słowie. Robił bowiem kolorowe karykatury. Robił je przeważnie pastelem. Te karykatury można by nazwać nietaktownymi portretami.

Bo czymże innym jest karykatura, jeżeli nie mówieniem modelowi słów prawdy o jego charakterze i umysłowości?! A mówienie komuś „słów prawdy" jest towarzyską nieprzyzwoitością. Portret jest prawdą grzeczną, karykatura jest prawdą z zaakcentowaniem wstydliwych cech charakteru. Dlatego ludzie ambitni tak łatwo się obrażają na karykaturzystę. Zwłaszcza na karykaturzystę, posiadającego sens of humour, bo wówczas „portretowe „słowa prawdy" nasycone są szyderczą wesołością.

Andrzej Niemojewski pewnego wieczora w „klubie Miki" zastawszy na ścianie swoją karykaturę, zrobioną przez Protaszewicza, zbladł, zawrócił i wyszedł. Nie było rady! Naśmiawszy się i naśmiechawszy musieliśmy ją usunąć, na co się „sentymentalnie" zgodził jej twórca.

Protaszewicz „zportretował" Niemojewskiego jako biskupa w infule i z pastorałem w ręku (popiersie naturalnej wielkości). Był to okres, kiedy pana Andrzeja nazywano „osobistym wrogiem Pana Boga". Protaszewicz z bezbrzeżną ironią pokazał go we wspaniałym stroju kapłańskim, ze znakomicie oddanym uśmiechem własnym modela plus wyraz obłudy w mięśniach twarzy i w błysku oczów. Obraz był zabójczą krytyką ateuszowskiej działalności redaktora „Myśli Niepodległej".

Wszyscy uznaliśmy ten pastel za arcydzieło. Nabył rzecz Marian Zbrowski, poeta z rzadka drukujący swoje utwory, późniejszy prezes sądu apelacyjnego we Lwowie. (Był niezwykle podobny do popularnych portretów Kościuszki).

Pewnego wieczora na klubowej ścianie u Miki zawisnął portret Zarzyckiego. Oczywiście, znów karykatura. Tylko głowa i to od tyłu. Głowa kompletnie łysa. Głowę tę ujął Protaszewicz jako różowy balonik dziecięcy na sznurku. Granatowe niebo i ten balonik! Więcej nic! Balonik miał pośrodku ledwie zaznaczoną fałdę, dzielącą ją dyskretnie na dwie półokrągłości, z boku zaś dostrzegało się szpic czarnego wąsika. Wszystko to razem stanowiło uderzająco podobny portret Zarzyckiego.

Zarzycki nie opuścił „klubu" ujrzawszy się tak skonterfektowanym, ale spochmurniał, zapalił papierosa i rzekł do Protaszewicza:

— Uważam to za świństwo i nadużywanie phaw kahykaturzysty. Ignasiu, bahdzo cię phoszę, zabierz to do phacowni.

Obolałym głosem, tkliwie uśmiechnięty, odrzekł Protaszewicz:

— Poznałeś się?

— Mój dhogi, ja cię phoszę, zabierz to do siebie!

— Wstydzisz się swego wyglądu?

— Ignasiu, nie lubię łatwych dowcipów!

— Jeżeli ci na tym zależy, mogę portret zabrać, ale jeszcze nie dzisiaj i pod jednym warunkiem. Zapłacisz czarną kawę.

— Dobrze! I dzisiaj, i jutho! Tylko zabierz!

Nie pamiętam, kto kupił „Zarzyckiego". Może znów Zbrowski, który się zachwycał Protaszewiczem i zbierał jego „portrety", czy Słoński, który również miał kilka jego karykatur, między innymi i wcześniejsze, zrobione węglem.

Podczas pierwszej wojny światowej Protaszewicz znalazł się w Moskwie. „Portretował" wiele osób, między innymi Aleksandra Lednickiego, Józefa Everta (późniejszego senatora i współzałożyciela znanej firmy księgarskiej), Władka Everta, poetę, jako Cezara, panią Kiewnarską, redaktora Fryzego, red. Ehrenburga...

Zapadł na zapalenie ślepej kiszki. Operacja się udała, ale gruźlica zaczęła robić szybkie postępy i w kilka miesięcy umarł.

Nieco później umarł Zarzycki. Nie zdążył rozbić banku w Monte Carlo.

Wacław Grubiński

*) Poprzednie felietony z cyklu „W klubie u Miki" ukazały się: I. Fischer-Danilowski nr 46 (1951), II. Antoni Lange, nr 47 (1951), III. Żeromski-Srokowski, nr 49 (1951), IV. Leśmian-Niemojewski, nr 50 (1951), V. Belcikowski, nr 3 (1952).

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 3 lutego 1952.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

JAKIE CECHY CHARAKTERU LUDZKIEGO

UWAŻAM ZA NAJBARDZIEJ DESTRUKCYJNE W ŻYCIU SPOŁECZNYM?

Życie społeczne tworzą jednostki wiążąc się w większe lub mniejsze zespoły: rodzinę, organizację, naród i grupy narodów. Dlatego też miarą wartości jednostki mierzyć trzeba wartość zespołów, które z tych jednostek się tworzą.

Epoka, w której żyjemy, nasuwa pod tym względem wiele smutnych refleksji. Przy ogromnym rozbudowaniu materialnym życia, zmniejszeniu świata dzięki zdobyczom technicznym, wartość moralna jednostek tworzących ten świat nabiera coraz większej wagi. Świat staje się po prostu bezbronny wobec ludzi, którzy skupiają w swych rękach władzę i środki techniczne. Dlatego też dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek w dziejach, ważną jest sprawą, co reprezentuje pod względem moralnym i społecznym jednostka posiadająca magiczną formułę ucznia czarnoksięskiego.

Chciałabym tu rozważyć najbardziej elementarne cechy charakteru ludzkiego, które oddziaływują destrukcyjnie na życie społeczne na każdym szczeblu.

Jakież są te najbardziej niszczące siły w społeczeństwie ludzkim?

Czy egoizm?

Nie sądzę. Egoizm, zdrowy egoizm leży u podstaw każdego bytu. Egoizm — to instynkt samozachowawczy, bez którego nie może istnieć jednostka ani naród. Zdrowy egoizm ocenia wartości trafnie i nie poświęca spraw ważnych dla mniej ważnych. Patriotyzm jest w obecnym stanie współżycia narodów właśnie rozszerzonym zdrowym egoizmem. Być może, że po wielu jeszcze niszczących wojnach współżycie narodów dojdzie do tego stadium, kiedy ów zdrowy egoizm narodowy nie będzie już potrzebny. Dziś, w epoce, kiedy siła idzie przed prawem, bardziej może niż kiedykolwiek w historii ludzkości — jest konieczny.

U starych, zdegenerowanych narodów nad tym zdrowym zbiorowym egoizmem bierze górę egoizm jednostki. Własną wygodę i dostatek, spokój i rzekome bezpieczeństwo stawia się wyżej od narodowego bezpieczeństwa zatracając w ten sposób instynkt samozachowawczy i ginąc nieodmiennie.

Czy chciwość?

I tego nie sądzę. Chciwość jako taka, chciwość w stanie czystym — jest zjawiskiem dość rzadko dzisiaj spotykanym. Mało jest dziś „Skąpców" czy „Grandetów" gromadzących dobra doczesne po to, aby cieszyć się w samotności z ich posiadania.

Okrucieństwo?

Tutaj może wywołam liczne protesty mówiąc, że okrucieństwo nie leży w naturze współczesnego człowieka. Ma na to zbyt słabe nerwy.

— A obozy koncentracyjne, a komory gazowe, łagry, „doprosy" i katownie Gestapo? — zawołają Czytelnicy. I będą mieli słuszność, ale tylko połowiczną.

Tak, to wszystko było i jest jeszcze dzisiaj za żelazną kurtyną. Ale żeby stworzyć te miejsca udręczeń — ileż trzeba było pracy? Trzeba było zabić w człowieku zdrową radość życia. Trzeba było tresować ludzi do okrucieństwa. „Wir werden gezuechtet" (jesteśmy hodowani) — rzekł do mnie raz stary Niemiec, gdy rozmowa zeszła na te sprawy. Trzeba było zarazić cały naród obłędem Hitlera i jego zdegenerowanej kliki. I tu były głosy protestu. Goebbels w czasie wojny, jako minister propagandy, zasypywany był listami obwateli niemieckich, którzy protestowali przeciw metodom stosowanym wobec Kościoła katolickiego i Żydów.

A Hitler — to uosobienie bestialstwa w oczach całego świata!

Niedouczony maniak, który bez znajomości historii, socjologii, ekonomii — stworzył sobie własną historiozofię. Dziwne jest nie to, że taki człowiek istniał, bo w historii więcej spotykamy obłąkanych demagogów i reformatorów, — ale fakt, że dla swoich prostackich i potwornych idei i programu zdobyć mógł większość społeczeństwa niemieckiego, że zdobył prawie całą młodzież.

Winić tu należy wyjałowienie duchowe narodu niemieckiego przez racjonalizm, materialistyczny sposób myślenia i ducha pruskiego, który zrodził się z kilku kropel krzyżackiej krwi a rozrósł potężnie na pożywce fryderycjańskiego „drillu"*)

Wróćmy jednak do Hitlera jako człowieka prywatnego. — Nie jadał mięsa, żywił się wyłącznie owocami i jarzynami, a w swojej Reichskanzlei hodował wiewiórkę, która z jego rąk brała orzechy i smakołyki. Istna sielanka!

Hitler nie chciał oglądać zdjęć z bombardowanych miast niemieckich, nie chciał słuchać sprawozdań o skutkach alianckich bombardowań. Nerwy jego nie wytrzymywały.

I tutaj właśnie leży niebezpieczeństwo środków technicznych które pozwalają na niszczenie olbrzymich ilości ludzi bez aktywnego współdziałania, bez oglądania skutków na własne oczy.

Gdyby człowiek sam musiał wykonywać te wszystkie okropności — nerwy odmówiłyby posłuszeństwa i zbrodnie nie zostałyby wykonane. Natomiast, kiedy można wydać rozkaz nie działając samemu — i nie myśleć o skutkach, odgrodzić się od nich bezmyślnością wówczas zbrodnie są bardzo łatwe do spełnienia.

A ludzie, wykonawcy rozkazów — zawoła z oburzeniem Czytelnik. — A cała niezliczona rzesza oprawców Gestapo?!...

Słusznie. Ale człowiek w systemie totalitarnym przestaje być człowiekiem. Jest maszyną do wykonywania rozkazów — i to maszyną tragiczną, która ma nerwy i myśli.

Nerwy wzdrygają się najpierw na wykonywane zbrodnie a dusza ludzka zamiera z przerażenia. Ale człowiek-niewolnik mówi sobie: „Taki jest rozkaz, a ci, u góry, wiedzą lepiej". Potem nerwy tępieją a dusza zostaje porażona w samym swym rdzeniu: w poczuciu międzyludzkiego braterstwa. Stępione nerwy szukają coraz mocniejszej podniety, zdradzone człowieczeństwo nienawidzi swych ofiar, tym bardziej nienawidzi, im większych dopuszcza się na nich okrucieństw. Winę za swoje zwyrodnienie psychiczne przerzuca dziwnym rykoszetem nie na tych, którzy wydali rozkaz mordowania, lecz na bezbronne ofiary za to właśnie, że są, bo gdyby ich nie było — to wszystkie okrucieństwa nie byłyby potrzebne. I w obłędzie — bo jest to stan patologiczny — morduje, żeby raz z tym skończyć, żeby już tego nie było więcej... żeby się wyzwolić!...

Następnie rodzi się chciwość. („Skoro do tego doszło, to niech ja chociaż coś z tego mam!") Oprawca grabi ofiary przed zamordowaniem i skrzętnie gromadzi łupy.

Budzi się poczucie władzy. Mały rzemieślnik, urzędnik, chłop, z którym przed wojną nikt się nie liczył, teraz stał się panem życia setek tysięcy ludzi. To upaja.

Wtłoczone w podświadomość szczątki chrześcijaństwa kołaczą czasem do duszy napawając ją przerażeniem. Powstaje strach przed karą i zemstą. Ale znów odbija się rykoszetem na ofiarach, które mogłyby, w jakichś zmienionych warunkach, świadczyć przeciw niemu.

I tak już do końca, którym jest obłęd, kulka z wyroku Podziemia lub szubienica po wojnie. W najlepszym razie życie w ciągłym strachu.

Z tej drogi nie ma chyba powrotu. Dusza ludzka została okaleczona do głębi. Zbir bardziej potrzebuje współczucia niż ofiara ale nie otrzymuje go zwykle od ludzi. Czy może otrzymać przebaczenie Boskie? Może, jeśli okaże prawdziwą skruchę. Bóg jest miłosierniejszy od człowieka...

Jeżeli zaś idzie o Rosję — jak olbrzymią pracę trzeba było przeprowadzić nad człowiekiem rosyjskim, aby stworzyć tę niezliczoną armię NKWD, dozorców łagiernych i więziennych!

Potrzeba było dwustu lat niewoli mongolskiej i domieszki okrutnej i posępnej mongolskiej krwi, kilkuset lat panowania caratu, które dziś — o ironio! — wydać się może łagodnym reżymem w porównaniu z bolszewickim piekłem, ale które było jednak okresem azjatyckiego „samodierżawia", „opryczników", Iwana Groznego, pałek, katorgi, „ochrany", więzień i szubienicy. Trzeba było okropności i olbrzymich strat pierwszej wojny światowej, milionów ofiar rewolucji, odebrania człowiekowi wszystkiego, co posiadał: Boga, rodziny, ziemi, wszelkiego prawa do własności, do własnej duszy i własnego ciała, trzeba go było sterroryzować głodem, fizycznym cierpieniem — a przede wszystkim strachem, najstraszliwszą torturą, która okalecza duszę.

Tak wielki wysiłek był potrzebny, aby mogły trwać łagry i więzienia NKWD.

I okazuje się, że te wszystkie wysiłki nie były wystarczające, bo w czasie wojny, kiedy rząd sowiecki zmuszony był uczynić pewne ustępstwa na rzecz religii w Sowietach, kult religijny odrodził się.

Ambasador USA, Bedell Smith, opisuje w swych wspomnieniach z pobytu w Moskwie w latach 1946-49 (a więc wkrótce po zakończeniu wojny) — scenę, którą oglądał podczas świąt wielkanocnych. Dziesiątki tysięcy ludzi wyczekiwały cierpliwie godzinami przed cerkwią, żeby choć z daleka wziąć udział w nabożeństwie wielkanocnym. Członkowie korpusu dyplomatycznego otrzymali przepustki do cerkwi a milicja torowała im drogę wśród tłumów.

Czyż nie był syzyfową pracą ten wieloletni wysiłek propagujący bezbożnictwo? Naród rosyjski potrzebuje Boga, miłości i nadziei, jak potrzebuje chleba powszedniego, bardziej niż każdy inny naród na świecie.

Tutaj przychodzą mi na myśl słowa Mefistofelesa z „Fausta" Goethego:

„Ich bin ein Teil von jener Kraft,
Die stets das Böse will
Und stets das Gute schafft".

(Jestem częścią tej siły, która stale zło zamierza — a dobro czyni).

Należy mieć nadzieję, że owe mefistofelesowskie siły, siły, które kotłują się obecnie w Rosji krzewiąc zło — stworzą w ostatecznym rozrachunku wielką potrzebę dobra, zbudzą w narodach ujarzmionych pragnienie prawdy, sprawiedliwości i Boga. Wiele jeszcze prawdopodobnie czasu i krwi upłynie zanim wzejdzie ten zasiew, ale widocznie człowiek musi być smagany, by wyszedł z kokonu bezmyślności i odciął się od pępowiny próżności, które jeszcze ciągle nie pozwalają mu wydostać się z niemowlęctwa wieku brązowego „dyktatorów".

Tak więc egoizm, chciwość i okrucieństwo nie są tymi cechami jednostki ludzkiej, które najgroźniej podważają fundamenty życia społecznego.

Za pożywkę taką uważam próżność i bezmyślność.

Egoizm każe zaspakajać własne potrzeby. Próżność sprawia, że potrzeby te rozrastają się bez miary. Próżność każe przewyższyć wszystkich, nikomu nie ustąpi z drogi, nie liczy się ze środkami, choćby były najbezwzględniejsze i najokrutniejsze. Próżność jest władczynią bardzo wymagającą, a z niej rodzi się żądza władzy, dla której człowiek gotów jest poświęcić wszystko: uczciwość, honor, rodzinę, własny spokój, zdrowie, miliony istnień ludzkich, dorobek cywilizacyjny wielu społeczeństw zdobyty z trudem w ciągu stuleci.

Próżność nie pozwala przyznać się do winy, do popełnionej omyłki, nie pozwala zawrócić z raz wybranej drogi, każe człowiekowi wierzyć w swoją gwiazdę wbrew oczywistości — aż do smutnego końca.

Próżność wmawia człowiekowi, że jego idee są jedynie słuszne, że ma prawo per fas et nefas zmuszać ludzkość do ich przyjęcia kosztem największych ofiar.

Nie pozwala mu wartościować idej i dóbr materialnych krytycznie. Człowiek próżny nigdy nie zgłębi życia, zawsze będzie się ślizgał po jego powierzchni. Kłamie, żeby osłonić swą wewnętrzną pustkę i cynizm, bojąc się utracić władzę nad innymi, która jest mu potrzebna do życia. Czyni to wszystko — nieświadom tego, że wartości odsunięte i zlekceważone przez niego — przygniotą kiedyś jego kłamstwa i prawda wyjdzie na jaw.

Drugą cechą ludzką najbardziej niszczącą na każdym szczeblu — jest bezmyślność.

Nie potrzeba jej szukać. Sama rzuca się na każdym kroku: w życiu jednostki, rodziny, w życiu organizacyjnym, na platformie narodowej i międzynarodowej. Lenistwo myślenia — bez robienia porównań i wyciągania wniosków. Stąd wynika brak umiejętności wczucia się w cudzą psychikę. Człowiek jest zbyt leniwy, by wejść się w czyjeś położenie i zrozumieć jego przeżycia.

I zapominamy. Zapominamy o własnych doświadczeniach, zapominamy, czego uczy przeszłość i historia. Każde pokolenie zaczyna od tych samych błędów i otrzymuje te same cięgi.

I dzięki właśnie tej bezmyślności i zapominaniu — mogą Teheran i Jałta nastąpić po Monachium, połykanie Europy w kolejnych dawkach przez Rosję — po takim-że połykaniu jej przez Niemcy.

Są, oczywiście, pewne różnice w okolicznościach ubocznych. Mianowicie obszerny żołądek Rosji można porównać z przewodem pokarmowym przeżuwających. Połknięte kraje odkłada na bok i przeżuwa je gruntownie. O tej właśnie okoliczności zapomniał Zachód.

Typowym przykładem bezmyślności połączonej z próżnością plus egoizm, okrucieństwo i zakłamanie — była zawrotna kariera Hitlera i jego nieodpowiedzialnej kliki, a po niej zawrotny upadek.

Czyż nie był szczytem pychy i bezmyślności żart wygłoszony przez Ribbentropa w listopadzie 1939 r., kiedy to — siedząc z Hitlerem i jego gronem najbliższych współpracowników przy kominku w Reichskanzlei — powiedział w tych mniej więcej słowach:

„Po wojnie każę sobie zrobić piękną inkrustowaną szafę i będę w niej trzymał wszystkie międzynarodowe traktaty, które zerwałem i które jeszcze zerwę".

Hitleryzm, wojenne szaleństwa Mussoliniego czy stalinizm — to zjawiska w skali światowej, które przynoszą spustoszenie również w skali światowej.

Ale i z tej strony żelaznej kurtyny, w świecie dotychczas wolnym — nie jesteśmy wolni od tych fundamentalnych wad — próżności i bezmyślności. Prosperują one świetnie w każdym narodzie, w każdej organizacji, w każdej jednostce — w silniejszym lub słabszym stopniu.

Ludzkość miota się beznadziejnie w labiryncie, który stwarza sobie sama nieustannie i z którego nie może znaleźć wyjścia.

I dlatego, czy nie byłoby dobrze, byśmy wszyscy — my, ludzie dwudziestego stulecia, stulecia Katynia, więzień i łagrów, komór gazowych i tortur, bomb atomowych i wodorowych — byśmy do modlitwy codziennej dołączyli krótkie westchnienie:

Od próżności i bezmyślności uwolnij nas, Panie!?

Maria Belina

*) W czasie mej pracy w warsztacie napraw samochodowych, zarekwirowanym przez władze wojskowe, zdarzało mi się rozmawiać z żołnierzami niemieckimi. Bardzo były wyraźne różnice w sposobie myślenia Niemców z zachodu i Prusaków. Niemcy zachodni mówili dość szczerze (kiedy znajdowali się sam na sam z Polakami, nigdy w obecności drugiego Niemca). Byli oni przerażeni barbarzyństwami hitlerowskimi, walką z religią, likwidacją Żydów. Natomiast pewien Prusak zapewniał mnie w styczniu 1942 r., kiedy naczelne dowództwo objął po Brauchitschu Hitler: „W maju będę z powrotem w domu. Z wojną będzie koniec. Führer da sobie z Rosją radę. Jeden się taki urodził — i nam go Pan Bóg dał!..." Inny Prusak zapewniał mnie, że w kolejnych kampaniach nauczył się polskiego, francuskiego i rosyjskiego języka. A bardzo już niedługo nauczy się i angielskiego!.. Na moją uprzejmą uwagę, że wojna z Rosją jest jednak ciężka, odpowiedział chełpliwie: „A cóż to — zawsze mamy chodzić na spacer?!..."

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

RUCH WYDAWNICZY NA EMIGRACJI

Roman Orwid-Bulicz „JEŚLI JUTRO WOJNA..." Powieść. Tom I. Biblioteka Powieści. Londyn 1952. Druk: Veritas Foundation Press. Stron 208. (Tom II w arkuszach wydawanych co tydzień dla subskrybentów.)

Polskie Towarzystwo Historyczne TEKI HISTORYCZNE. Cahiers d'Histoire — Historical Papers. Londyn, tom V, nr. 1—2, 1951-52. Stron 68.

POLISH AFFAIRS. Monthly Bulletin. No. 1 January 1952. By subscription. Published by the Executive Committee of the Polish Political Council, 9, Phillimore Place, London W.8. Stron 20. (Wydawnictwo Rady Politycznej).

PRZEBUDOWA. Organ Ruchu Młodych. (For members only). Rok I. Nr. 1. Styczeń 1952. Stron 4. Adres redakcji: 35 A, Glazbury Rd., London W.14. Czasopismo periodyczne.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA OBCE

LOSY PAŁACYKU W NOHANT. Akademia Francuska popadła w trudności finansowe z powodu gwałtownego skurczenia się jej dochodów. Ostatnio Akademia postanowiła zrzec się pałacyku w Nohant, który swego czasu był własnością George Sand i w którym zrodziło się tyle utworów muzycznych Chopina. Pałacyk ten był własnością Akademii, nie ma ona jednak odpowiednich funduszów na jego utrzymanie.

VERNE JAKO PREKURSOR PRZYSZŁOŚCI. W artykule pt. „Nous n'avons pas fini de découvrir Jules Verne", który ukazał się w „Figaro Littéraire", D. Arban podkreśla, że czasy nasze przynoszą coraz to nowe potwierdzenia proroczych wizji J. Verne'a. Arban notuje na początku swego artykułu ciekawy szczegół. Oto w jednej z powieści Verne'a, którą napisał już pod koniec życia (w tłumaczeniu polskim tytuł jej brzmi bodaj „Pięćset milionów Begumy") miasto, zbudowane przez Niemca, dziedzica olbrzymiej fortuny, nosi nazwę „Stahlstadt" — miasto stalowe. Niemiec ów, ogarnięty nacjonalistycznym szałem, z miasta tego czyni olbrzymią zbrojownię, z której wypuszcza potworny pocisk, mający doszczętnie zniszczyć niedaleko położone „Miasto-Francję".

Arban, który zresztą w te szczegóły treści się nie wdaje, podkreśla, że dzisiejszy rosyjski „Stalingrad" oznacza zupełnie to samo co „Stahlstadt". Wprawdzie miasto to zostało tak nazwane na cześć Stalina, pseudonim „Stalin" jednak pochodzi od słowa „stal".

Przypomina też autor artykułu, jaką swego czasu sensacją była powieść Verne'a „Podróż naokoło świata w osiemdziesięciu dniach" („Tour du monde en quatre-vingt jours"), której bohaterem jest Anglik, Phileas Fogg. Powieść ta ukazywała się w r. 1872 w odcinkach „Le Temps" — i paryscy korespondenci dzienników zagranicznych co dziennie kablowali do swych redakcji postępy podróży Fogga i jego przygody. Kiedy „przybył" on do Nowego Jorku i gotował się do ostatniego etapu swej podróży poprzez Atlantyk, wielkie linie okrętowe ofiarowywały Vernemu ogromne sumy; każda z nich pragnęła, by ten ostatni przejazd morski Fogg odbył na którymś z jej statków. Zwyciężyła ostatecznie „Cunard Line".

Ta podróż fikcyjna stała się punktem wyjścia dla dziesięciu podróży prawdziwych. Pierwszą z nich odbyła Miss Bly, redaktorka jednego z pism nowojorskich, która objechała świat w 77 dni i otrzymała za to specjalne gratulacje od Verne'a. Inny z entuzjastów powieści wynajął osobny statek do tej podróży. W naszych czasach podróż dokoła świata w 80 dniach odbył znany pisarz Jean Cocteau,, ale — jak zaznacza autor artykułu pobił on Fogga tylko o trzy minuty.

Verne przewidział między innymi telewizję, a jego pomysł wysłania pocisku na księżyc, jeśli mamy wierzyć fachowcom od „astronautyki", coraz bliższy jest urzeczywistnienia.

AKADEMIA KRÓLA STANISŁAWA. W Nancy czynna jest nadal „Académie de Stanislas", nazwana ku czci króla Stanisława Leszczyńskiego, który ze stolicy Lotaryngii zrobił spore centrum życia kulturalnego i zyskał sobie wśród ludności miano „le bon roi Stanislas". W tym roku „grand prix" Akademii otrzymał dziekan honorowy jej wydziału prawnego François Gény za swe ostatnie prace z zakresu prawa. Gény jest doktorem „honoris causa" dziewięciu uniwersytetów zagranicznych.

KARDYNAŁ PREZESEM AKADEMII NAUK. Kardynał Gerlier, prymas Galii, wybrany został prezesem lyońskiej „Académie des sciences belles lettres et arts". Dziękując za wybór kardynał z uznaniem podkreślił działalność swego poprzednika, Edwarda Herriota, znanego przywódcy „radicaux socialists" i długoletniego mera miasta Lyonu.

ODKRYTA STOLICA INKÓW. Kiedy Pizarro i jego „conquistadorzy" zdobyli Cuzco, władca Inków Manko II uciekł poprzez wysokogórskie przełęcze i wiszące mosty, zrobione z lian, do odległej i odgrodzonej od świata głębokimi przepaściami doliny Urubamba, gdzie on i jego następcy rządzi i jeszcze przez trzydzieści pięć lat. Dopiero w r. 1572 wicekról hiszpański, Don Francisco de Toledo, pobił, wziął do niewoli i zamordował ostatniego cesarza Inków. I wtedy jednak Hiszpanie nie dotarli do zagubionej w przepastnych górach ostatniej stolicy Inków, Vilcapampa, która dzięki niezmiernie trudnemu dostępowi pozostała nieznana białym ludziom przez cały czas panowania hiszpańskiego i poprzez wiek XIX. Dopiero w r. 1911 odkrył ją Amerykanin Hiram Bingham z uniwersytetu w Yale (przez pewien czas gubernator i senator Stanów Zjednoczonych). Znalazł on na szczycie góry Machu Picchu ruiny tego miasta z jego monumentalnymi świątyniami i pałacami, zbudowanymi z wielkich bloków białego granitu.

Swe odkrycie Bingham opisał w książce „Lost City of the Incas", która obecnie ukazała się również w wydaniu angielskim (Phoenix House, cena 21 sh.). Książka ozdobiona jest licznymi doskonałymi fotografiami.

DZISIEJSZY BUDDYZM. Ukazało się interesujące studium o buddyzmie, pióra Edwarda Conze („Buddhism: Its Essence and Development", Oxford, Bruno Cassirer, cena 18 sh.). Autor charakteryzuje istotę buddyzmu i jego stan obecny, którego znamieniem jest duża ilość ścierających się szkół i kierunków. Zdaniem Conze'a buddyzm zachował jeszcze dużo żywotności i trudno mówić o bliskim jego upadku czy rozkładzie.

PÓŁWIECZE „TIMES LITERARY SUPPLEMENT". Czołowy dziś brytyjski tygodnik reprezentujący krytykę literacką, „Times Literary Supplement" wydał specjalny numer poświęcony pięćdziesięcioleciu swego istnienia. Pismo powstało w r. 1901, kiedy stało się jasne, że dziennik „Times" niezdolny jest dla braku miejsca uwzględniać w dostatecznej mierze bieżącą produkcję wydawniczą. Historia pisma opisana jest szczegółowo do r. 1938, potem urywa się; autor artykułu stwierdza, że nie można „uchylać zasłony" otaczającej ostatnich dwanaście lat istnienia „Times Literary Supplement", gdyż spowodowałoby to naruszenie anonimowości redaktorów i współpracowników, czego oni sobie nie życzą. Dlatego nie podano nawet nazwisk dwóch ostatnich redaktorów pisma, w którym artykuły i recenzje, jak wiadomo, nigdy nie są podpisywane.

Numer jubileuszowy zawiera nadto przedruki szeregu recenzji dzieł wybitnych pisarzy z dawniejszych roczników „Times Literary Supplement". M. in. spotykamy recenzje „Kippsa" G. H. Wellsa, „Puck of Pook's Hill" R. Kiplinga, „Orthodoxy" G. K. Chestertona, „The Secret Agent", J. Conrada-Korzeniowskiego, „A la recherche du temps perdu" M. Prousta itd.

ZAPISKI LONDYNSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

O „WYRZUTKU Z WYSP"

Film „An Outcast of the Islands", oparty na powieści J. Conrada-Korzeniowskiego, a wyświetlany obecnie przez jeden z największych kinoteatrów londyńskich („Plaza"), omawiany jest obszernie przez wszystkich recenzentów filmowych.

„Mieszane uczucia" — oto tytuł, jaki swemu omówieniu daje recenzentka „Observera" C. A. Lejeune. „Wyszłam z „Plazy" — pisze ona — z uczuciem silnego podniecenia, połączonego z czymś w rodzaju mdłości. Film Carola Reeda wydaje mi się zarówno świetny (brilliant), jak barbarzyński. Jest to niewątpliwie najpotężniejsze dzieło reżysera, a być może najpotężniejszy z filmów, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w tym kraju. Ma on jednak momenty okrucieństwa tak niemożliwe do zniesienia, że trudno film ten polubić".

P. Lejeune przytacza słowa, jakie o „Wyrzutku z wysp" wypowiedział sam Conrad: „Powieść ta pociągnęła bardziej moją wyobraźnię niż me uczucia" — na dowód, że sam autor „Wyrzutka" nie bardzo umiłował to swoje dzieło, drugie z kolei po „Szaleństwie Almayera".

Recenzentka zaznacza, że autor scenariusza niezupełnie trzymał się fabuły powieści, zwłaszcza zmienił jej zakończenie. Mimo to p. Lejeune uważa film Reeda za „dojrzałe dzieło ogromnej dyscypliny wewnętrznej" jego twórcy. Spośród aktorów wyróżnia Ralpha Richardsona (w roli kapitana statku), choć, jak zaznacza, grał on w sposób raczej teatralny niż filmowy.

Recenzja Dilys Powell w „Sunday Times" jest bardziej powściągliwa i w pochwałach i w naganie (nie wspomina nic o „okrutnych" momentach filmu, które tak uderzyły p. Lejeune). P. Powell zafascynowana jest scenerią filmu. „Przez szereg dni — pisze — niezdolna byłam otrząsnąć się z tych obrazów".

P. Powell wytyka m.in. twórcom filmu, że niepotrzebnie wprowadzili do niego, i to na jeden z pierwszych planów, żonę Almayera, która w powieści ledwie jest wspomniana, oraz że ukazali w fałszywym świetle charakter Almayera, przedstawiając go jako człowieka, zdolnego do popełniania absurdów, niezdolnego jednak do cierpienia. Stoi to w zupełnej sprzeczności z charakterystyką tego samego człowieka, jaką Conrad dał w swej poprzedniej powieści, „Szaleństwie Almayera", w której występują także inne postacie z „Wyrzutka z wysp".

Zanotować warto, że w związku z premierą filmu Reeda pojawił się w tygodniku „Everybody's" (z d. 12 stycznia) obszerny artykuł o Józefie Conradzie-Korzeniowskim, pióra Wilsona Midgleya, redaktora periodyku „John O'London's Weekly". „Dziełem marynarza polskiego, który miał już 21 lat, kiedy nauczył się naszego języka, — brzmi podtytuł artykułu — są utwory o morzu, należące do najwspanialszych, jakie w ogóle napisano w języku angielskim".

„Nigdy żaden osobliwszy Polak nie opuścił swego kraju — pisze w początku artykułu Midgley, — nigdy żaden osobliwszy „Master Mariner" nie wstąpił do brytyjskiej marynarki handlowej, i nigdy żaden osobliwszy cudzoziemiec nie ozdobił tak literatury angielskiej, jak Józef Conrad".

Opisawszy wcale dokładnie życie i twórczość Conrada, Midgley kończy następującymi słowami:

„Tak się skończyła ziemska wędrówka człowieka, który kiedyś sam określił się jako „arystokrata polski w powłoce marynarza brytyjskiego".

Polskość Conrada podkreśla także w tygodniku „Time and Tide" autor recenzji o książce Olivera Warnera o Conradzie, James Hanley. Recenzja nosi tytuł „A Great Pole" („Wielki Polak").

GIELGUD W „WIELE HAŁASU O NIC"

Po „Opowieści zimowej" John Gielgud wraz ze swym zespołem wystawił obecnie w Phoenix Theatre (przy Tottenham Court Road) inną sztukę Szekspira, komedię „Wiele hałasu o nic" („Much Ado About Nothing"). Jak i poprzednio, główną jego partnerką jest Diana Wynyard (w roli Beatrice).

Jeden z czołowych brytyjskich krytyków, Ivor Brown stwierdza, że Gielgud swymi przedstawieniami szekspirowskimi góruje obecnie na całej linii nad zespołem „Old Vic", choć zespół ten pobiera ogromną subwencję od „Arts Council", podczas gdy zespołowi Gielguda przyznano tylko częściowe zwolnienie od podatków, co zresztą stosowane jest bardzo często w stosunku do różnych teatrów.

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

W Lefevre Gallery (30, Bruton Street, W. 1) odbywa się wystawa obrazów interesującego współczesnego malarza francuskiego Balthusa. Krytyk „Sunday Times", John Russell, zaznacza, że Balthus ma Polaków i Szkotów wśród swych przodków i cieszy się swym odległym pokrewieństwem z Byronem. Wystawa, która obejmuje również pewną ilość innych obrazów francuskich, otwarta jest codziennie od 10 do 5.30, w soboty od 10—1.

W galerii „Twenty Brook Street" (nazwa ta podaje zarazem adres galerii) odbywa się stała wystawa obrazów malarzy francuskich XIX i XX wieku. Otwarta od 10—6 w soboty od 10—1.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po pol. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przesyłać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocz. 52 pesos. Przedstawicielstwo „Librería Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: mies. czni: 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: Mme E. Kulakowska, 101. rue Auguste Lambiotte, Bruxelles 3 — FRANCJA: mies. 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mała „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Schiphhorst 2, i Księgarnia „Wiedza" Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica. 3) E. Bagiński. 3690 Helen Avenue, Detroit 7 Michigan 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews London W.2. Tel: PAD 9734